NR 9 (1882) 4 MARCA 2025

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Chory człowiek EUROPY

Rys. Cezary Krysztopa

ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

- SONDAŻEM W NAWROCKIEGO
- EKSTREMALNA DROGA KRZYŻOWA

eprasa.pl c60911d094

RAPORT

DRAPIEŻNY ZIELONY (NIE)ŁAD

już dostępny

Pierwsza tak kompleksowa analiza wpływu
polityki klimatycznej Unii Europejskiej
na polską gospodarkę
przygotowana na zlecenie NSZZ „Solidarność”
przez grono niezależnych i uznanych ekspertów.

Kup na

WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

eprasa.pl c60911d094

Michał Ossowski
REDAKTOR NACZELNY

W najnowszym „TS” analizujemy powyborczą scenę polityczną w Niemczech. Zastanawiamy się, jak nowy rząd może wpłynąć nie tylko na sprawy wewnętrzne Niemiec, ale także na politykę całej Europy i ewentualne zakończenie wojny na Ukrainie oraz na interesującą pracowników w Polsce kwestię Zielonego Ładu.

„Niemcy faktycznie popełniły ogromny błąd, ustępując ekologom, którzy nawoływali do rezygnacji z energii jądrowej. Teraz widzimy tego rezultat: oprócz uzależnienia od rosyjskiego gazu – i Rosji Putina – ponownie otwiera się elektrownie węglowe” – mówi prof. Rémi Brague w rozmowie z Marcinem Darmasem.

O uzależnieniu Niemiec od Rosji pisze też prof. Zdzisław Krasnodębski. „Dążenie do zawarcia «pokoju» z Rosją zawsze było w Niemczech silne, choć tłumione. Zarówno prawica, jak i lewica postulowały natychmiastowe rozpoczęcie negocjacji z Putinem. Jedyne, co większości Niemców może przeszkadzać w polityce dogadywania się z Putinem, to fakt, że prowadzi ją Trump – w interesie USA” – konstatuje.

Do władzy za naszą zachodnią granicą dochodzą między innymi właśnie osoby, które są kojarzone z dialogiem niemiecko-rosyjskim, a eksperci przewidują, że wspólne interesy tych dwóch państw będą w najbliższym czasie motorem działania niemieckich polityków. Nie ma tu miejsca na sentymenty wobec Ukrainy. A czy ktoś weźmie pod uwagę polski interes?

Aby zachować niezależność, lepiej postawić na prezydenta, który w relacjach z sąsiadami będzie wyrazicielem siły naszego państwa i interesu jego obywateli.

Prof. Krasnodębski pisze: „Żywotnym interesem Niemiec jest utrzymanie Donalda Tuska (czy kogoś o podobnym profilu politycznym) przy władzy w Polsce. Nie liczmy na to, że kogoś będzie obchodziło łamanie zasad praworządności, gwałcenie praw politycznej opozycji i wolności słowa w Polsce”.

Polska jako przeszkoda w realizacji niemieckiego interesu i dominacji w Europie nie istnieje, przynajmniej dopóki w naszym kraju rządzić będzie opcja, która „nie robi problemów”. Przed majowymi wyborami my sami musimy zastanowić się, czy chcemy, aby taka polityka była kontynuowana i żeby prezydent był milczącym realizatorem niemieckich – a pośrednio rosyjskich – interesów w Europie. Aby zachować niezależność, lepiej postawić na prezydenta, który w relacjach z sąsiadami będzie wyrazicielem siły naszego państwa i interesu jego obywateli. Na przywódcę, dla którego celem będzie budowa silnej Polski, która nikomu nie będzie się kłaniać.

NA DOBRY POCZĄTEK **WASIUKIEWICZ**

eprasa.pl c60911d094

04.03.2025
WYDANIE Nr
9

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Niemcy – chory człowiek Europy

8	Na zachód od Odry bez zmian. Na razie
12	Francja i Niemcy już nie ciągną tego wozu. Rozmowa z prof. R. Bragiem
16	Merz, Ostpolitik i sprawa polska
20	O fenomenie AfD
24	Laboratorium niemieckich wpływów

KRAJ

Renesans władzy patologicznej 28
Państwo musi uratować Grupę Azoty. Wywiad z P. Łusiewiczem 31
Panie premierze, rzuć pan te ziemniaki! 34
Sondażem w Nawrockiego 38
Postkorwinista. Portret nieoczywisty S. Mentzena 42

ZAGRANICA

„Made in Europe" jest marką, jest wartością. Rozmowa z E. Lynch 46

SPOŁECZEŃSTWO

Kobiety są strażniczkami życia. Wywiad z dr K. Obłąkowską 50

KULTURA

Źle się czuję, gdy nie śpiewam. Rozmowa z Mademoiselle Dorotą 54
Złoto. Recenzja serialu „Landman: Negocjator" 58

RELIGIA

K2 z Panem Bogiem 60

HISTORIA

Kontestatorzy ze Śląska. Sylwetka K. Świtonia 64

ZWIĄZEK

Co w związku 68
Posiedzenie plenarne RDS w Pałacu Prezydenckim: Apelujemy o dialog 70

FELIETONY:

WOŚ 7
SKWIECIŃSKI 11
OKRASKA 15
GAC 19
KRYSZTOPA 41

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 27
KARUZELA Z BLOGERAMI 37
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 45
CO NAM MÓWI DZIŚ KS. JERZY? 63
PRAWO 72

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność"

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS" na stronie: www.tysol.pl

Prezes zarządu: Michał Ossowski

Redaktor naczelny: Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.com

Zastępcy redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz:
Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy:
Andrzej Berezowski, Marcin Darmas, Aleksandra Fedorska, Paweł Gabryś-Kurowski, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Krzysztof Karnkowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Ludwik Pęzioł, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Jakub Szmit, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie:
Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika:
Barbara Sadowska, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl:
Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Monika Rutke, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki, tel. 510 075 689, e-mail: k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: TYSOL Sp. z o.o.
ul. Wały Piastowskie 24, 80-855 Gdańsk
nr konta: Mbank
58 1140 1065 0000 2038 9400 1001

Księgowość: tel. 58 308 42 69

eprasa.pl c60911d094

Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowe sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa i obywateli dotyczącej ograniczenia przez Polskę obecnych przepisów strategii „Zielonego Ładu” i bieżącej polityki klimatycznej UE

zawierającemu następującą propozycję pytania w przedmiotowej sprawie:

Czy jest Pani/Pan

za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w europejskim „Zielonym Ładzie”

Odpowiedzi "Tak" lub "Nie".

Lp.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis
1	2	3	4	5

Wypełnioną kartę można wysłać na adres redakcji „Tygodnika Solidarność”: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa.

eprasa.pl c60911d094

PODPISZ WNIOSEK

O REFERENDUM OGÓLNOKRAJOWE W SPRAWIE ZIELONEGO ŁADU

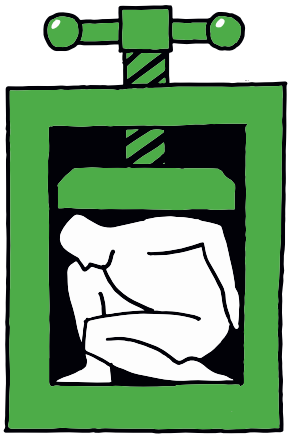

ZATRZYMAJ
ZIELONY ŁAD
PODPISZ, ZANIM ZRUJNUJĄ CI ŻYCIE

www.preczzzielonymladem.pl

NSZZ Solidarność

NSZZ RI Solidarność

eprasa.pl c60911d094

Rafał Woś

Deutschland kaputt

Niemcy nie mają się dobrze. Coraz częściej określa się ich jako „chorego człowieka Europy". Termin ten służy od czasów upadającego imperium osmańskiego dwieście lat temu za publicystyczny opis kraju cierpiącego na poważny oraz trwały rozkład polityczno-gospodarczy. „Kaputt" – to tytuł świeżutkiej książki wpływowego niemiecko-brytyjskiego komentatora Wolfganga Münchaua. Nie trzeba chyba nawet znać niemieckiego, by wiedzieć, jak się to tłumaczy.

Co dolega Niemcom? Przede wszystkim odbijają się na nich lata niezdrowego trybu życia. Sprawa jest o tyle skomplikowana, że nasi sąsiedzi byli przekonani, że prowadzą się właśnie bardzo dobrze. Pomysł na siebie oparli przecież w ostatnim 20-leciu na kombinacji trzech czynników. Po pierwsze – globalizacji własnej gospodarki – co do której byli absolutnie przekonani, że jest niezrównana i zawojuje nie tylko wspólny rynek unijny (to bez trudu) – ale i ten światowy. Po drugie – Niemcy uczynili z celów klimatycznych w zasadzie oficjalną religię państwową. Zielonym założeniom podporządkowana była wielka operacja transformacji energetycznej – przejścia od węgla do źródeł odnawialnych z (tymczasowym, jak ufano) bajpasem w postaci taniego gazu z Rosji. Trzecim elementem tożsamości nowoczesnej Republiki Berlińskiej było otwarcie na migrantów. Trochę jako wyraz niemieckiej odpowiedzialności za losy globalnego południa (przydatne, by punktować innych z pozycji moralnego prymusa), a trochę z podszeptu biznesu oraz klasy średniej, którzy dzięki imigrantom mieli tanią siłę roboczą oraz tanie usługi.

Problem w tym, że wszystkie te filary tożsamości nowych Niemiec okazały się w praktyce zaprzeczeniem zdrowego żywienia. Owszem, na globalizacji gospodarki RFN wyrosło wiele nowych fortun, ale ta sama globalizacja uczyniła z kraju za Odrą zaprzeczenie tzw. społecznej gospodarki rynkowej, czyli pomysłu na gospodarkę, który stanowił o sile Niemiec Zachodnich w okresie powojennym. Obsesyjne pilnowanie wydatków publicznych wysuszyło inwestycje, rozbiło służbę zdrowia oraz edukację i sprawiło, że Niemcy są dziś krajem podupadającej infrastruktury, rosnącego rozwarstwienia i kulejącej przedsiębiorczości. Narzucenie tych surowych (rzec by można protestanckich, gdyby nie fakt, że Niemcy się po drodze już dawno zsekularyzowały) reguł fiskalnych krajom strefy euro oczywiście wygasiło popyt na towary „made in Germany". Zielona transformacja (tak hojnie finansowana z państwowej kiesy kosztem wspomnianych inwestycji społecznych) jakoś się kręciła, dopóki gaz z Rosji był tani. Gdy jednak Kreml postanowił wykorzystać energetyczne uzależnienie Europy (którego Niemcy aż do wybuchu wojny na Ukrainie kompletnie nie widzieli!) i podniósł ceny, to konkurencyjność niemieckiej gospodarki załamała się kompletnie. Także problem migracji uderzył Niemców w twarz w postaci poczucia braku bezpieczeństwa we własnych miastach. Nieprzypadkowo aż 10 milionów Niemców oddało w ostatnich wyborach głos na antyimigrancką AfD (plus kolejne 2,5 mln na lewicową, ale mówiącą o migracji z grubsza to samo partię BSW).

Do tego dochodzi fakt, że berliński establishment ery Angeli Merkel otorbił się tak grubą siecią poprawności politycznej, że przestał odbierać sygnały ostrzegawcze. Każdy, kto krytykował politykę ekonomiczną, był natychmiast nieodpowiedzialnym populistą. Krytyka migracji z automatu wykluczała takiego „faszystę" z debaty. Podważanie religii klimatycznej w ogóle nie mieściło się w głowie, debata na ten temat była zaś w zasadzie stawiana w jednym szeregu z negowaniem Holokaustu.

Co jednak najgorsze, ta „niemiecka choroba" zaczęła rozprzestrzeniać się poza granice Republiki Federalnej. Wielka w tym „zasługa" wiecznej kanclerz Angeli Merkel, która rządziła w latach 2005–2021. Na tyle długo, by w połączeniu z niemieckim rozmiarem gospodarczym stać się niekoronowaną królową Europy. Swój moment Merkel wykorzystała do obsadzenia w kluczowych miejscach systemu ludzi zdolnych do eksportowania niemieckiego modelu na całą Europę (Ursula von der Leyen w roli szefowej Komisji Europejskiej). Jednym po dobroci, ale jak trzeba, to i groźbą.

W tym sensie problem z Niemcami jest problemem nas wszystkich w całej Europie. Przez nich wszyscy jesteśmy trochę „kaputt".

eprasa.pl c60911d094

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia

Na zachód od Odry bez zmian. NA RAZIE

W wieczór wyborczy szybko stało się jasne, że zgodnie z przewidywaniami wygrała CDU, ale z wynikiem dużo **poniżej oczekiwań**. Porażka SPD zaskoczyła swoimi rozmiarami i przerodziła się w historyczną klęskę.

Zdzisław Krasnodębski

Współprzewodnicząca Alternatywy dla Niemiec (AfD) Alice Weidel z członkami swojej partii po ogłoszeniu wyników wyborów

Fot. Lisi Niesner / Reuters / Forum

eprasa.pl c60911d094

Najbardziej dręczącym pytaniem było to, czy któraś z małych partii – liberalna, postępowa FDP lub skrajnie lewicowa BSW, przekroczy próg 5%. Wówczas bowiem do utworzenia koalicji rządzącej potrzeba by było co najmniej trzech partii. Najbardziej prawdopodobnym kandydatem na koalicjanta staliby się Zieloni. Ale taka koalicja – podobnie jak poprzednia koalicja SPD, Zielonych i FDP – nazywana „Ampel" (sygnalizacja świetlna) ze względu na kolory przypisane poszczególnym partiom – byłaby bardzo niestabilna i mógłby ją spotkać ten sam los. Gdy okazało się, że FDP nie ma szans na wejście do Bundestagu, wszystko zależało od wyniku BSW, partii Sahry Wagenknecht, nazywanej kiedyś nową Różą Luksemburg, a w życiu prywatnym żoną Oskara Lafontaine'a, byłego przewodniczącego SPD i rywala Gerharda Schrödera. Jeszcze późnym wieczorem wydawało się, że BSW znajdzie się w parlamencie. Byłem jednak spokojny, że ostatecznie nie przekroczy ona progu. I rzeczywiście. Następnego ranka okazało się, że zabrakło jej 0,03%. Być może te brakujące trzy setne procenta zadecydowały o losie Niemiec.

Wygrała CDU/CSU, ale 28,5% głosów to drugi najsłabszy wynik w historii tej partii. Natomiast SPD uzyskała tylko 16,4%, co historycznie jest jej najgorszym wynikiem. Tak więc dwie partie, które przez wiele dziesięcioleci dominowały na niemieckiej scenie politycznej, słabną coraz bardziej.

Mimo mizernych wyników te dwie partie utworzą rząd. SPD jest jedynym możliwym partnerem koalicyjnym dla CDU/CSU. Friedrich Merz, który podczas wieczoru wyborczego ogłosił koniec rządów lewicy, jest skazany na współpracę z nią. SPD mimo porażki ma dużą siłę przetargową, gdyż bez niej utworzenie rządu nie będzie możliwie. Tak więc Niemcy najprawdopodobniej czeka po raz kolejny „wielka koalicja" z rozmytym programem i wewnętrzną rywalizacją. SPD odrzuca wiele postulatów Merza – nie chce naruszenia indywidualnego prawa do azylu ani nowych funduszy na zbrojenia, również w sprawach gospodarczych i podatkowych ma inne zdanie.

Prawdziwymi zwycięzcami tych wyborów są AfD, która niemal podwoiła swój wynik, oraz Lewica. AfD wygrała w cuglach wybory we wschodniej części Niemiec, ale też w regionach zachodnich wzmocniła swoją pozycję. Będzie miała drugą pod względem liczebności frakcję w Bundestagu. Jak długo jeszcze uda się utrzymać wokół niej kordon sanitarny?

W oficjalnym programie AfD nie ma nic skandalicznego, zawsze jednak rodzi się wątpliwość, czy nie jest to tylko kamuflaż. Niemcy ciągle uginają się pod jarzmem swojej przeszłości. To, co w innych krajach jest dopuszczalne, w Niemczech jest uważane za skrajne i „nazistowskie". Hasła takie jak: „Uczyńmy Niemcy znowu wielkimi", brzmią zupełnie inaczej niż „Make America Great Again". I często są prawnie zakazane, jak w przypadku hasła: „Alles für Deutschland", używanego kiedyś przez SA. AfD przekształciła je w „Alice für Deutschland", co nie zmniejszyło fali krytyki.

Nieoczekiwany sukces odniosła Die Linke – po rozłamie, gdy partię tę opuściła Sahra Wagenknecht, wróżono jej schyłek. Tymczasem będzie miała 64 posłów. Jest to zasługa jej głównej kandydatki Heidi Reichinnek, „atrakcyjnie" wytatuowanej, doskonale operującej mediami społecznościowymi, niezłomnej w walce z „faszyzmem" i wypowiadającej kwestie polityczne z szybkością karabinu maszynowego. Nawet Annalena Baerbock w czasach swojej największej świeżości musiałaby uznać jej wyższość pod tym względem. Lewicy udało się wyprowadzić na ulice setki tysięcy ludzi, po tym jak Friedrich Merz ośmielił się z poparciem AfD przeprowadzić przez Bundestag 5 postulatów zaostrzających przepisy migracyjne. A popularność Reichinnek wzrosła szczególnie po przemówieniu w Bundestagu w styczniu 2025 roku, nazwanym „Brandmauer-Rede", w którym ostro skrytykowała CDU za współpracę z AfD w kwestii polityki migracyjnej. Wystąpienie to zostało obejrzane miliony razy w mediach społecznościowych.

Lewica niemiecka pozostaje więc silna, czujna i fanatyczna. Także w Polsce tropiła faszystów. Gdyby – co na razie jest niewyobrażalne – Merz zdecydował się na zawarcie koalicji z AfD, doszłoby w Niemczech do ogromnych napięć, na granicy wojny domowej. My w Polsce, krytycznie oceniając tradycje polityczne Niemiec, zapominamy często, że nie tylko narodowy socjalizm, ale i komunizm zrodziły się w tym kraju. Niestety swoimi uprzedzeniami

NIEMCY NAJPRAWDOPODOBNIEJ CZEKA PO RAZ KOLEJNY „WIELKA KOALICJA" Z ROZMYTYM PROGRAMEM I WEWNĘTRZNĄ RYWALIZACJĄ.

eprasa.pl c60911d094

i patologiami Niemcy zainfekowały całą Europę. Wrzucenie na przykład Prawa i Sprawiedliwości do jednego worka „ekstremalnej prawicy" z AfD jest intelektualnym i politycznym nadużyciem.

Perspektywa powołania „wielkiej koalicji" pokazuje, jak dysfunkcjonalny stał się cały system polityczny Niemiec. W 2023 roku zmieniono ordynację wyborczą, co jeszcze zmniejszyło możliwość wyboru obywateli. Jest to system mieszany – większościowy i proporcjonalny. Każdy obywatel Niemiec ma dwa głosy – głosuje na partię oraz na poszczególne osoby w jednym z 299 okręgów wyborczych; kandydat z największą liczbą głosów w każdym z nich zdobywa mandat bezpośredni. Drugi głos oddany na listę partyjną w danym landzie decyduje o proporcjonalnym podziale miejsc w Bundestagu między partie, które przekroczyły próg wyborczy 5% (lub zdobyły co najmniej 3 mandaty bezpośrednie). Są więc dwie klasy posłów – bezpośrednio wybranych w wyborach i wchodzących do parlamentu z list partyjnych. Ci wybrani bezpośrednio zawsze to z dumą podkreślają. System ten prowadził jednak do zwiększenia się liczby posłów w Bundestagu, gdyż włączenie w skład Bundestagu wszystkich bezpośrednio wybranych zakłócało proporcje między partiami, które były wyrównywane posłami z list partyjnych. Reforma wyeliminowała też tzw. mandaty nadliczbowe (Überhangmandate) i wyrównawcze (Ausgleichsmandate). W rezultacie reformy systemu wyborczego Bundestag został zmniejszony do stałej liczby 630 miejsc (poprzednio było ich aż 736). Teraz liczy się przede wszystkim drugi głos oddany na listę partyjną, bez preferencji wyboru konkretnego kandydata na tej liście, co wzmacnia władzę partii politycznych. Nawet jeśli kandydat wygra wybory w swoim okręgu, może nie wejść do Bundestagu, gdy jego partia nie zdobędzie wystarczającej liczby miejsc na podstawie proporcjonalnego wyniku drugiego głosu.

Tak też się stało. Jak napisał na platformie X Armin Laschet, konkurent Olfa Scholza w wyborach 2021 roku: „Fakt, że bezpośrednio wybrani przedstawiciele miast Frankfurt, Augsburg, Tybinga, Heidelberg, Mannheim, Darmstadt, Halle, Trewir, Moguncja i innych nie są reprezentowani w Bundestagu, pomimo wygranych wyborów, jest jedną ze najgorszych konsekwencji rządów FDP i koalicji «Ampel». Tak właśnie zniechęca się do polityki".

Jaka będzie polityka niemiecka po wyborach? Reakcje na wybór i działania prezydenta Donalda Trumpa były jednoznacznie negatywne. Merz uchodził za polityka, dla którego szczególnie istotne są związki transatlantyckie, ale w obecnej sytuacji zmienił zdanie i mówi o konieczności budowy zdolności obronnych Unii Europejskiej oraz uniezależnienia się od Stanów Zjednoczonych.

Dążenie do zawarcia „pokoju" z Rosją zawsze było w Niemczech silne, choć tłumione. Zarówno prawica, jak i lewica postulowały natychmiastowe rozpoczęcie negocjacji z Putinem. Jedyne, co większości Niemców może przeszkadzać w polityce dogadywania się z Putinem, to fakt, że prowadzi ją Trump – w interesie USA.

Współprzewodniczący SPD Lars Klingbeil, który obejmie teraz również kierownictwo frakcji w Bundestagu, to człowiek w przeszłości związany z prorosyjską siecią Schrödera, jeden z filarów stowarzyszenia Niemcy – Rosja. Nowe Pokolenie, budującego relacje między niemieckimi i rosyjskimi politykami młodszego pokolenia. Nie będzie miał oporów, by rozmawiać z Rosjanami.

NIEMIECKI NACJONALIZM JEST DLA NAS NIESTRAWNY. NIEMIECKI EUROPEIZM ZMIERZAJĄCY DO ROZBUDOWY PAŃSTWA UNIJNEGO TAKŻE.

Friedrich Merz, bardzo zamożny człowiek biznesu z elity zachodnioniemieckiej (jego dziadek – polityk partii Centrum, potem NSDP – był wieloletnim burmistrzem w Brilon, rodzinnym mieście Merza), będzie starał się ożywić gospodarkę bez rezygnacji z celów klimatycznych. Jednym z jego priorytetów jest powstrzymanie nielegalnej imigracji w ramach przyjętego przez UE paktu migracyjnego. Co oznacza, że Niemcy będą jeszcze sprawniej przekazywać Polsce imigrantów, którzy ich zdaniem przybyli do ich kraju poprzez Polskę. W polityce wobec Unii Europejskiej nie nastąpi zmiana kursu. CDU/CSU to partia skrajnie prounijna. Niemiecki nacjonalizm jest dla nas niestrawny. Niemiecki europeizm zmierzający do rozbudowy państwa unijnego także. Jest on zresztą tylko bardziej wyrafinowaną formą niemieckiego libido dominandi. Żywotnym interesem Niemiec jest utrzymanie Donalda Tuska (czy kogoś o podobnym profilu politycznym) przy władzy w Polsce. Nie liczmy na to, że kogoś będzie obchodziło łamanie zasad praworządności, gwałcenie praw politycznej opozycji i wolności słowa w Polsce. Merz nawet nie zająknie się na ten temat w czasie zapowiadanej już wizyty w Warszawie.

eprasa.pl c60911d094

Piotr Skwieciński

Pojęczmy sobie

W tym sezonie modnie jest jęczeć na różne tematy. A wśród nich poczesne miejsce zajmuje wydziwianie, jak to Ukraińcy stawiają na Niemcy, a nie na Polskę. I w ogóle, w swojej naiwności, nie rozumieją, że Niemcy ich sprzedadzą Rosji. A przecież powinni rozumieć. Tak samo jak powinni rozumieć, że Polska jest ich jedynym szczerym przyjacielem.

Zanim jednak dołączymy do jęczenia, spróbujmy odpowiedzieć sobie na pytanie najbardziej podstawowe: Skąd niby mieliby wiedzieć?

Skąd miałaby się wziąć ta wiedza w sytuacji, w której wielkie niemieckie fundacje wciąż organizują w Kijowie wszelkiego rodzaju niemiecko-ukraińskie wydarzenia – seminaria, okrągłe stoły, spotkania ekspertów. I nie ma potrzeby dodawać, że oczywiście na własny koszt. W tym czasie polski dyplomata, usiłując zorganizować jedno takie analogiczne wydarzenie polsko-ukraińskie, jest zmuszony kolędować u... ukraińskiego biznesu i prosić go o finansowe wsparcie. Właśnie tak.

Można by tu zamknąć temat okrzykiem oburzenia na to, jak można tak lekceważyć kluczowego sąsiada. A niektórzy od razu powiedzieliby coś o tym, że to lekceważenie jest powodowane tradycyjnym polskim poczuciem wyższości wobec Wschodu. I zaczęli uczoną dyskusję, czy to poczucie ma coś wspólnego z syndromem kolonizatora, czy nie.

Tylko że to byłby całkowicie błędny trop.

Bo na drugim końcu planety, w najważniejszej dla Polski stolicy świata – Waszyngtonie, której Polacy z całą pewnością nie lekceważą, sytuacja jest w zasadzie analogiczna. W tamtejszej ambasadzie Niemiec kilkunastu (tak jest, kilkunastu) dyplomatów odkomenderowanych jest do stałej lobbystycznej pracy na Kapitolu. W naszej ambasadzie pracą z amerykańskimi parlamentarzystami zajmują się dwie osoby. Dwie.

W tymże Waszyngtonie funkcjonuje kilkadziesiąt przedstawicielstw niemieckich NGO-sów, i są to duże biura z wieloma pracownikami. Niemcy nie są tu wyjątkiem – stolica USA pełna jest przedstawicielstw organizacji pozarządowych krajów zachodniej Europy, ale też większych państw latynoamerykańskich typu Brazylia czy Argentyna, dla których kontakty ze Stanami, wpływanie na to, jak przebiegają tam dotyczące tych krajów procesy decyzyjne, są ważne. Polski sektor NGO jest natomiast w stolicy Ameryki reprezentowany przez jedną, słownie: jedną, instytucję. I to od niedawna, przedtem pustka była całkowita.

„Ależ to naturalne, przecież jesteśmy biednym krajem!" – żachnie się wielu. Otóż nie, nie jesteśmy. Już dawno nie jesteśmy. Tak, nasza gospodarka, nasz PKB, nasz budżet są znacznie mniejsze od niemieckich, ale nie są to różnice wstrząsające. Lata 90. minęły naprawdę już ćwierć wieku temu.

O co więc chodzi? Jak niemal wszystko, zjawisko to ma wiele przyczyn. Ale gdybym miał wymienić jedną, najważniejszą, to powiedziałbym, że polskie myślenie spętane jest przez dwa zjawiska. Pierwszym jest najbardziej charakterystyczna polska cecha narodowa, czyli poczucie wszechstronnej niemożności. I tak nic się nie uda, tak naprawdę na nic nie będziemy mieć wpływu, żadne działanie nie ma sensu.

A drugie nazwałbym ukąszeniem balcerowiczowskim. Wydawanie pieniędzy na cokolwiek, co nie jest komercyjnym prywatnym sektorem, jest z definicji podejrzane. Wręcz – niemoralne. Pogardliwe słowo klucz „urzędasy" jest w polszczyźnie niezwykle ważne. Jego rozpowszechnienie mówi o nas coś bardzo ważnego. Nawet sama służba państwowa ma gdzieś głęboko zakodowaną tendencję do myślenia o sobie w tych kategoriach.

Dotyczy to wszystkich Polaków, ale szczególnie, oczywiście, obecnych rządzących. „Pieniędzy nie ma i nie będzie" to dla nich nie jest konstatacja smutna. Wymawiają te słowa z wyraźną satysfakcją.

Żadnych Trójmórz czy statusów strategicznego sojusznika największego mocarstwa świata nie da się osiągnąć za darmo. Ale w Polsce chyba nikt tego nie rozumie.

Za to można pojęczeć o tym, jak to wszyscy nas krzywdzą i nie dopuszczają. To przecież takie przyjemne.

eprasa.pl c60911d094

Francja i Niemcy już nie ciągną tego wozu

– Dzisiejszy Zachód wydaje się dość istotnie podzielony. Stany Zjednoczone i Europa (lub przynajmniej europejscy przywódcy) różnią się zasadniczo na wielu polach. Na Starym Kontynencie nie jesteśmy już w stanie podejmować wspólnych decyzji. I nie chodzi mi tylko o dezercję Wielkiej Brytanii – mówi profesor **Rémi Brague** w rozmowie z **Marcinem Darmasem**.

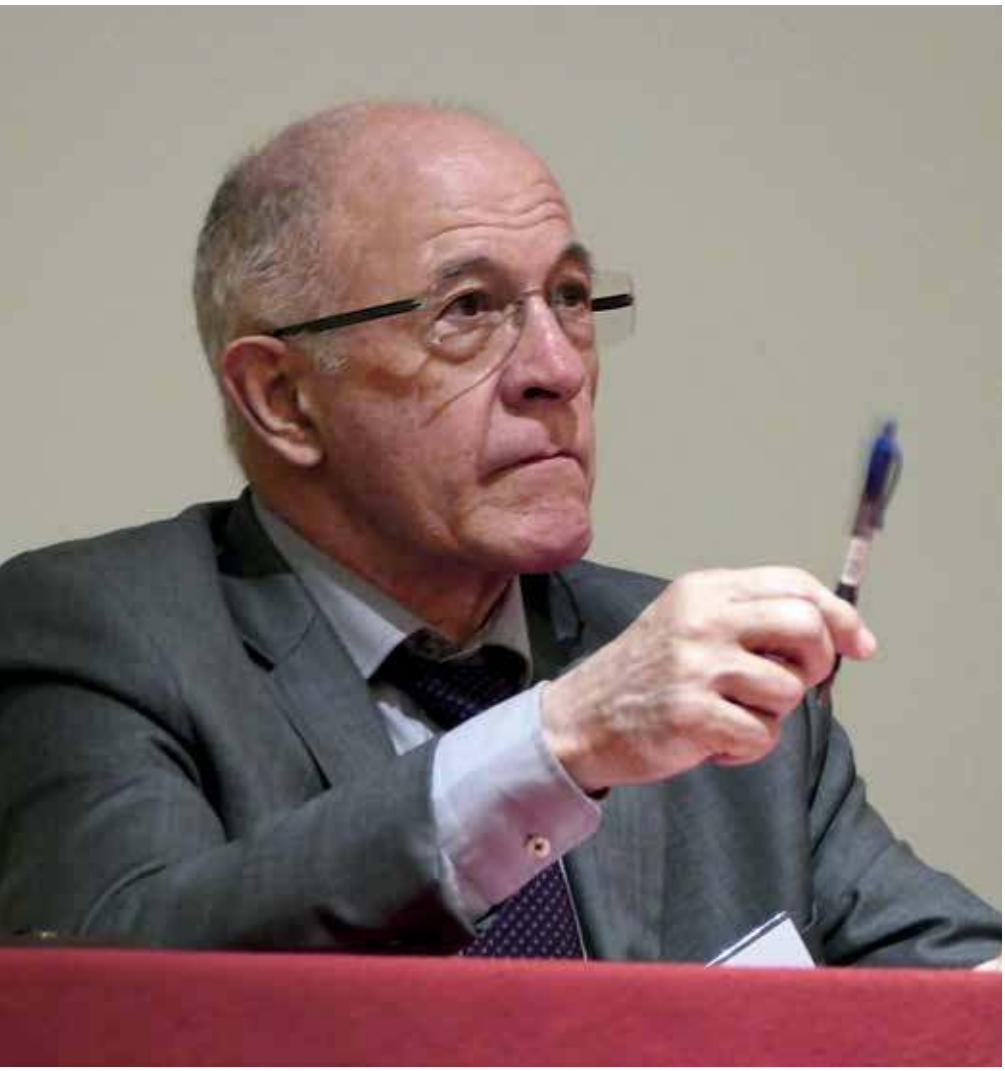

Fot. Peter Potrowl / pl.wikipedia.org

– Historyczne związki Francji i Niemiec utkane są ze spięć, wojen, wzajemnej fascynacji, a od zakończenia drugiej wojny światowej ze współpracy w ramach Unii Europejskiej. Romain Rolland powiedział nawet, że Francja i Niemcy są skrzydłami Zachodu. Mówił: „Kto unicestwi jedno, drugie pozbawia możliwości wznoszenia się nad chmurami". Czy kooperacja francusko-niemiecka nadal obowiązuje?

– Zanim odpowiem, krótkie przypomnienie historyczne. Niemcy jako zunifikowane państwo istnieją od całkiem niedawna. A kraj ten zjednoczył się pod impulsem wojny z Francją w 1870 roku. Wcześniej istniało Święte Cesarstwo, do którego należała także Austria, a Habsburgowie byli dla królów Francji dziedzicznymi wrogami. Nasi królowie, choć byli katolikami, nie wahali się sprzymierzyć się z niemieckimi luteranami przeciwko Austrii. Warto również odnotować, że Francja fascynowała się Niemcami w okresach, gdy stanowiły dla jej istnienia fundamentalne zagrożenie – powiedzmy od 1870 roku do lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku. I tak fascynował się erudycją niemieckich myślicieli wielki prawnik i teoretyk państwa Jean Bodin. Później byli inni, jak Madame de Staël i Gérard de Nerval. Niemniej wielka francuska germanistik była tak naprawdę podszyta strachem. Obecnie nauka języka niemieckiego jest u nas w odwrocie. Konstatuje to z bólem moja żona, która latami uczyła tego języka w paryskich liceach.

– Wróćmy do metafory Rollanda.

– Romain Rolland jest najsłynniejszym dzieckiem Clamecy, miasta oddalonego siedemnaście kilometrów od wsi, z której pochodził mój ojciec. Znam dobrze to miejsce i spędzam tam wiele czasu. Przyznam jednak, że niewiele czytałem Rollanda. Nie

eprasa.pl c60911d094

znam tego cytatu, który – muszę przyznać – uważam za nieco pustą formułę. W moim przeświadczeniu Zachód najwięcej zawdzięcza Italii. Lista dokonań robi wrażenie: rozkwit sztuk plastycznych, dzięki Galileuszowi przyśpieszył rozwój nauk ścisłych i przyrodniczych, do dziś korzystamy z rzymskiego prawa i tysiąca innych elementów konstytutywnych dla naszej cywilizacji. Romain Rolland zmarł w 1944 roku i nie mógł być naocznym świadkiem pojednania francusko-niemieckiego lat sześćdziesiątych. Autorzy pojednania byli katolikami. Mam na myśli Charles'a de Gaulle'a oraz Konrada Adenauera. Pojednanie odbyło się pod parasolem atomowym Amerykanów i nie byłoby możliwe, gdyby nie obawa przez Związkiem Radzieckim zarówno Niemiec, jak i Francji. Partnerstwo francusko-niemieckie, o ile jeszcze takowe istnieje, pokazuje, że dwa zwaśnione państwa mogą tworzyć przyjacielskie więzi. To stało się inspiracją do innych pojednań. Skoro istnieją takie kooperacje w ramach Unii Europejskiej, to znaczy, że szersza współpraca powinna być możliwa. Na przywódcach Francji i Niemiec ciąży zatem wielka odpowiedzialność.

– Czy możliwe jest zdefiniowanie, dokąd obecnie leci ten Rollandowski zachodni ptak?

– Dzisiejszy Zachód wydaje się dość istotnie podzielony. Stany Zjednoczone i Europa (lub przynajmniej europejscy przywódcy) różnią się zasadniczo na wielu polach. Na Starym Kontynencie nie jesteśmy już w stanie podejmować wspólnych decyzji. I nie mówię tylko o dezercji Wielkiej Brytanii. Jeśli Rollandowski ptak nadal leci, to czyni to zygzakiem. Ale żeby pozostać przy tym samym obrazie, jakkolwiek barokowy by nie był, mam raczej wrażenie, że dokłada wszelkich starań, aby samemu sobie te skrzydła podcinać. Możliwe, że oddalenie, którego wydają się dokonywać Stany Zjednoczone, zachęci Europejczyków do większego polegania na sobie i brania geopolitycznych spraw we własne ręce. Ale to wymaga odwagi. Dodatkowo nie jestem pewien, czy ktoś w Europie tę odwagę posiada...

– Ze względów historycznie oczywistych trudno nam, Polakom, zrozumieć francuską i niemiecką fascynację rosyjską kulturą i siłą. Zwłaszcza w obecnych kontekstach. Fascynacja ta nakłada się z odrzuceniem Stanów Zjednoczonych. Jakie są powody francusko-niemieckiej słabości do Rosji?

– Chyba jestem w jakimś procencie Polakiem, bo bywam równie zakłopotany tymi fascynacjami, co Pan. Niestety zmarły w 2023 roku mój serdeczny przyjaciel Alain Besançon napisał w tej materii niezwykle pouczającą książkę. Zdaje się przetłumaczoną na język polski.

– Ma Pan na myśli „Świętą Ruś"?

– Owszem.

– Zawarta jest tam myśl, że Rosja jest kłamstwem, „świętym kłamstwem". A Francja bardziej wyobraża sobie Rosję, niż widzi ją taką, jaka ona jest: „Rosja ją pociąga [Francję – przyp. M.D.] – pisze Besançon – gdy widzi w niej wzór cywilizacji, ale jeszcze bardziej, gdy marzy jej się zdziczenie. Rosja lubi tę grę i ją podtrzymuje, na przemian jawiąc się jako święta, scytyjska, konserwatywna, rewolucyjna".

– Besançon przywołuje w tym dziele takie postaci jak Denis Diderot, Marie-Eugène-Melchior de Voguë, Pierre Pascal, Jacques Maritain. Na szczęście z drugiej strony istnieli krytycy carskiej Rosji, jak Astolphe de Custine czy Jules Michelet. Istnieli we Francji również przenikliwi krytycy sowieckiego reżimu. Niemiecka scena intelektualna jest mi znacznie mniej znana. W każdym razie to Niemiec, właściwie Westfalczyk, August von Haxthausen w swoim dzienniku podróży z lat 1847–1852 ujawnił Europejczykom, a także samym Rosjanom, że społeczność wiejska (rosyjski mir), która miała być sceną harmonijnego życia i pojednania klas społecznych, była w istocie wydmuszką. Po rewolucji bolszewickiej przychodzą mi na myśl takie postaci jak Ludwig Rubiner i Bertolt Brecht. W latach 1870–1914 Francja liczyła na sojusz z Rosją zmuszający Niemcy do walki na dwóch frontach. Raymond Poincaré dużo pracował w tym kierunku. Bliżej naszych czasów lewica podziwiała ZSRR za wyimaginowane osiągnięcia gospodarcze i – co tu kryć – rzeczywiste zwycięstwo nad Wehrmachtem. Filozofowie, od Platona po Martina Heideggera, poprzez Woltera i Denisa Diderota, często marzyli o byciu takimi wezyrami wszechpotężnego kalifatu. Wielu lewicowych intelektualistów

NIEMCY JAKO ZUNIFIKOWANE PAŃSTWO ISTNIEJĄ OD CAŁKIEM NIEDAWNA. A KRAJ TEN ZJEDNOCZYŁ SIĘ POD IMPULSEM WOJNY Z FRANCJĄ W 1870 ROKU.

eprasa.pl c60911d094

chciało zasiadać na takim filozoficzno-politycznym tronie. Mówi się na przykład, że pod koniec drugiej wojny światowej Alexandre Kojève, francuski myśliciel pochodzenia rosyjskiego, wygnany po 1917 roku, przesyłał Stalinowi zaszyfrowane porady filozoficzno-polityczne...

– A obecnie?

– Intrygujące, że we współczesnej Francji rusofilia przesunęła się na prawo politycznego spektrum. Wielu politycznie konserwatywnych katolików daje się zwieść iluzji narodu i jego przywódcy wykazujących wielką ortodoksyjną pobożność, a także putinowskiej władzy, uważanej za bastion przeciwko ideologii LGBT itp. Natomiast Stany Zjednoczone bronią swoich interesów, jak każdy inny kraj. Są potężni, a my jesteśmy o to zazdrośni. Gdybyśmy byli tak dobrzy jak oni, czy poradzilibyśmy sobie lepiej? Zamiast ich obwiniać, lepiej byłoby grać naszymi kartami tak umiejętnie, jak to możliwe, zgodnie z własnymi interesami.

– Europa jest w przededniu poważnego kryzysu – zarówno ekonomicznego, jak i politycznego i aksjologicznego. Niemieckie przewództwo uzależniło nas energetycznie i politycznie od Rosji. Francja natomiast tkwi w pogłębiającym się kryzysie tożsamości, sama przestała siebie cenić. Parafrazując Pascala Brucknera, Francja uwikłała się w proces niekończącej się skruchy. Czy istnieje alternatywa dla silnika francusko-niemieckiego?

– Niemcy faktycznie popełniły ogromny błąd, ustępując ekologom, którzy nawoływali do rezygnacji z energii jądrowej. Teraz widzimy tego rezultat: oprócz uzależnienia od rosyjskiego gazu – i Rosji Putina – ponownie otwiera się elektrownie węglowe. Nie tylko Francja przestała siebie cenić czy raczej media odzwierciedlają nienawiść do siebie niektórych kręgów „intelektualnych". Choroba ta dotyka całą Europę, a nawet cały Zachód – bez wyjątku. Niemcy do tej pory były rekordzistą pod względem nienawiści do samych siebie. Oczywiście ze względu na ich niedawną przeszłość i trudność, z jaką musieli stawić czoła zbiorowemu wstydowi. Na ten stan ukuli nawet dedykowane sformułowanie: Vergangenheitsbewältigung. Ale resztę Europy, w tym kraje, które bohatersko stawiły czoła nazizmowi, ogarnęła ta sama mania samobiczowania. To powiedziawszy, pozostańmy ostrożni: dobrze jest być skłonnym do samokrytyki, niezależnie od tego, czy jesteśmy osobą, czy społecznością. To pewna oznaka zdrowia. Ale pod dwoma warunkami. Przede wszystkim zakładając, że wyznanie grzechów prowadzi do rozgrzeszenia i że nie mamy do czynienia ze złowrogą parodią katolickiego sakramentu, jak w ruchu woke.
A zatem, żebyśmy z tym naszym „mea culpa" nie pozostali sami. Podczas gdy inni dokładają nam dodatkowego ciężaru i niekończących się oskarżeń. Wszyscy powinni zrobić rachunek sumienia. Weźmy takiego Timura Chromego, turko-mongolskiego zdobywcę, który nazywał sam siebie „mieczem islamu". Według ostrożnych szacunków historyków był on sprawcą śmierci od jednego do siedemnastu milionów ofiar. Czy mamy zamiar niszczyć jego pomniki, tak jak odkręcamy pomniki wielu bohaterów Zachodu? W Uzbekistanie wzniesiono niedawno kilka nowych posągów Timura Chromego... Francja i Niemcy mogły zrobić rachunek sumienia, bo wiedziały, jak to uczynić w dialogu ze sobą. Wciąż czekamy na wzajemny dialog Europy z innymi cywilizacjami, zwłaszcza z naszymi sąsiadami.

MOŻLIWE, ŻE ODDALENIE, KTÓREGO WYDAJĄ SIĘ DOKONYWAĆ STANY ZJEDNOCZONE, ZACHĘCI EUROPEJCZYKÓW DO WIĘKSZEGO POLEGANIA NA SOBIE I BRANIA GEOPOLITYCZNYCH SPRAW WE WŁASNE RĘCE.

– Czy skończył się zatem definitywnie fracusko-niemiecki duopol?

– Czy silnik francusko-niemiecki, obecnie nieco przestarzały, mógłby zostać zastąpiony przez inne kraje, które przejmą jego obowiązki? Na przykład z tak zwanej Europy Środkowej? Czy mają do tego odpowiednie środki demograficzne, gospodarcze, dyplomatyczne i militarne? Szczerze mówiąc, nie wiem...

Rémi Brague – filozof, profesor emeritus Uniwersytetu Sorbony, laureat Nagrody Ratzingera, członek Akademii Nauk Moralnych i Politycznych, autor wielu książek przetłumaczonych na język polski, m.in. „Europa. Droga Rzymska".

eprasa.pl c60911d094

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Magdalena Okraska

Zderegulujmy wszystkich, Bóg rozpozna swoich

Kiedy wiadomo już było, że tuskowa liberalna gwardia powróci do władzy i zacznie wygodnie mościć się w Sejmie oraz odciskać swój ślad w prawodawstwie, pewne wydawało się, że jak mantra powrócą słowa: „Nie ma pieniędzy". Nie ma pieniędzy na X, nie ma ich na Y, w ogóle to prawdopodobnie nigdy ich nie będzie, bo „budżet nie jest z gumy", a jeśli pieniądze kiedykolwiek były, to na pewno na kredyt, kredyt zaś jest zły.

Tę śpiewkę już znamy. Ostatnio jednak zaczęła wtórować jej kolejna, znajoma, a jednak dawno niesłyszana melodia – pieśń o deregulacji. Polska z niedowierzaniem patrzyła, jak premier zwołuje konferencję prasową, by ogłosić wielce „innowacyjne" szkolenia z umiejętności cyfrowych, prowadzone przez Google i warte „aż" 5 mln dolarów. Z zaskoczeniem obserwowano, jak Rafał Brzoska, człowiek znany z prowadzenia wyzyskowej firmy kurierskiej oraz organizowania balów charytatywnych, na które przebiera się w perukę à la francuski hrabia, dostaje pierwszoplanową rolę w polskiej polityce i gospodarce. Nagle przedstawiciel najbardziej darwinistycznego nurtu polskiej przedsiębiorczości, przeciwnik umów o pracę, zwolennik długich godzin harówki i wypychania kurierów na własną działalność, będzie mógł dorzucić swoje trzy grosze do kwestii kształtu polskiego prawa pracy i prawa podatkowego. I te trzy grosze mogą stać się wiążące.

Deregulacje, czyli właściwie nie wiadomo co, ale na pewno „poluzowanie" prawa i tzw. władzy urzędniczej, stały się hasłem przewodnim niezbyt dotąd wyrazistej polityki gospodarczej i fiskalnej rządu Donalda Tuska. Jako Polacy mamy z deregulacjami dość słabe wspomnienia – wiele zmian prawa, choćby prawa pracy, skutkowało zawieszeniem dotychczas obowiązującego porządku, odbierało nam to, co się należało, ograniczało nas czy uderzało po kieszeni. Deregulacje prawie nigdy nie przebiegają w taki sposób, by były na korzyść pracownika. Zazwyczaj korzyść czerpią rynek i pracodawcy. Latami wierzono, że przedsiębiorca zatrudniający bez umowy nie będzie przycinał na wypłacie, że „gdyby nie było ZUS-u i podatków", to każdy zarabiałby więcej. Pewnie niejeden, ale nie z tej grupy, o której dobro nam chodzi.

Brzoska i jego zespół do spraw deregulacji zaczynają od ukłonu w stronę przedsiębiorców – proponują ograniczenie stosowania kar w związku z VAT, niekaranie za niecelowe błędy i pomyłki skarbowe, zmiany w wymogach raportowania ESG, mniej agresywną egzekucję komorniczą itp. Teoretycznie brzmi to miło i nieinwazyjnie. W praktyce wyznawcy boskości przedsiębiorców wyznają dwa rodzaje kultu: kult niskich podatków i kult wyzysku pracowników. Zacznie się od zwolnień podatkowych czy niekarania za drobiazgi. Potem sięgnie się po to, co zawsze – po czas pracownika i jego podstawowe prawa. Zrobi się tak, by deregulacja dotknęła umów, chorobowego, urlopu, czasu na przerwę i odpoczynek dobowy.

Znowu po nas idą.

eprasa.pl c60911d094

Merz, Ostpolitik i sprawa polska

Niemiecka klasa polityczna jest **zakładnikiem własnych mniemań** co do miejsca Polski w Europie. Optymistyczne zapowiedzi Friedricha Merza o nowym otwarciu we wzajemnych relacjach ostatecznie będą podporządkowane wielowiekowej niemieckiej Ostpolitik.

Jakub Pacan

Rys. Antoni Koch / Grafika Niezależna

eprasa.pl c60911d094

Friedrich Merz w ostatnim czasie wylał chyba więcej miodu na polskie serca niż jego poprzednik Olaf Scholz przez cały okres urzędowania. Nowy kanclerz Niemiec, podobnie jak jego zwycięska CDU, mówi o przyjaźni niemiecko-polskiej.

„Organizm życiowy" Niemiec

„Będziemy traktować naszego sąsiada na Wschodzie z szacunkiem, a ze względu na naszą pełną zwrotów historię – z empatią. Co więcej, prosimy Polskę, aby w ramach prezydencji w Unii Europejskiej przejęła przywództwo w Europie i dla Europy" – mówił Merz jeszcze przed wygranymi wyborami. Także jego otoczenie partyjne chce w końcu sfinalizować budowę Domu Polsko-Niemieckiego oraz pomnika Polskich Ofiar II Wojny Światowej.

Jednakże ten sam Merz jest zakładnikiem pewnej idei rozprzestrzeniającej się wśród niemieckich elit od kilku stuleci i mającej w jego ojczyźnie cechy długiego trwania. Chodzi o „besserwisserstwo", czyli przekonanie, że wiemy lepiej. Druga idea niemieckich elit to Ostpolitik – polityka wschodnia i przekonanie o wyższości kulturowej.

„Cząstka ziem polskich, jaka przypadła Rosji, jest dla niej kwestią wygody, albowiem łączy ona jej prowincje północne i południowe. Udział Austrii stanowi artykuł luksusowy, albowiem ma ona dostateczną osłonę w Karpatach i może obyć się bez Galicji. Część natomiast pruska jest organizmem życiowym, bez którego organizm państwowy nie mógłby długo istnieć. Z tego względu zrezygnowanie z niej jest niemożliwością" – pisał w 1831 r. feldmarszałek Carl von Clausewitz.

Joachim Bartoszewicz, polski polityk endecki, publicysta, działacz niepodległościowy i prawnik, tak pisał w „Zagadnieniach polityki polskiej" w 1919 roku: „Prusy mogli zdominować Niemcy i myśleć o dominacji świata dopiero po rozbiorze i upadku Polski. Zarówno wielkość Prus, jak i wielkość Niemiec jest nie do pogodzenia z wielkością Polski. To dlatego Niemcy, przygotowując swoją Mitteleuropę, nie mogły wyjść poza małą, rozbitą Polskę, otoczoną z jednej strony Prusami, z drugiej małymi państwami. Te małe państwa pomyślane były jako teren eksploatacji i kolonizacji dla ludu panów. To dlatego Niemcy chętnie by dzisiaj przystały na wyrzeczenia znacznie bardziej dotkliwe, jeżeli chodzi o interesy na Zachodzie, jeśliby pozwolono im powetować straty na Wschodzie, to znaczy przyjąć tam niemiecką koncepcję Mittel und Osteuropa".

Od tamtego czasu opieranie wielkości Niemiec na eksploatacji Polski jest kontynuowane. Rdzeniem polityki niemieckiej jest utrzymywanie żywotnych interesów i panowania na Wschodzie, aż do granicy z Rosją. Nawet gdyby Merz chciał zupełnie wywrócić dotychczasowe niemieckie mapy mentalne w polityce, to geopolityka, położenie geograficzne skazują go na konfrontację z Polską. Merz już mówi o usamodzielnianiu się Europy w kwestii zbrojeń i niezależności od USA. Stawia też na silnik niemiecko-francuski w UE. W kwestii Zielonego Ładu mówi raczej o mniej drastycznych metodach, jednak co do zasady jest za kontynuacją tej polityki. Tutaj jest ewidentny kurs kolizyjny z Polską, co więcej – twarda polityka migracyjna oznacza częstsze odsyłanie do Polski nielegalnych migrantów.

To paradoks, kiedy Niemcy słabną w świecie i Europie, kraje Europy Środkowej cieszą się, że wpływy Berlina będą u nich mniejsze. Jest odwrotnie, zawiedzione marzenia Niemiec co do podboju chińskich rynków, odcięcie od współpracy z Rosją, która też jest wielowiekową idée fixe niemieckich elit, powodują, że straty Niemcy muszą sobie amortyzować tam, gdzie mogą, czyli w Polsce, Czechach, na Węgrzech, Słowacji i potencjalnie na Ukrainie. Nawet słabnące Niemcy są na tyle silne, by rekompensować sobie straty i eksploatować nasz region.

Syntezę niemieckiego zmagania o przestrzeń życiową w naszym regionie opisał doskonały znawca tej tematyki prof. Grzegorz Kucharczyk w książce „Kłopoty z Niemcami. Kulturkampf, Ostpolitik, Mitteleuropa" wydanej w październiku zeszłego roku przez Frondę.

> To zdumiewające, że terminy i stałe elementy gry wobec Polski, takie jak Ostpolitik, polityka negatywna Polski, Kulturkampf, są u nas **nieznane**, nie ma ich w powszechnej świadomości.

Wielki Elektor kocha Rzeczpospolitą

„W 1657 roku Wielki Elektor [Fryderyk Wilhelm I Hohenzollern] w swoim testamencie politycznym napisał do swoich następców – bo taki był sens testamentów politycznych – że ich priorytetem powinno być utrzymywanie możliwie dobrych relacji z Rzeczpospolitą, która «nie wymiera nigdy» – pisze prof. Kucharczyk i tłumaczy – Jak potem będzie pisał w swoim testamencie politycznym Fryderyk II w XVIII wieku, nie ma nic łatwiejszego i tańszego, niż zerwać polski Sejm (przez liberum veto). Tutaj właśnie można postrzegać jeden z fundamentów Ostpolitik Berlina, to znaczy przekonanie o tym, że Rzeczpospolitą trzeba utrzymywać możliwie najdłużej w stanie politycznego bezładu, politycznej próżni. To są zaczątki tzw. negatywnej polityki polskiej".

Negatywna polityka polska, rzecz we współczesnych debatach

eprasa.pl c60911d094

nieznana lub poruszana w wąskich kręgach politycznych, a dla istnienia Polski fundamentalna, oparta była na dwóch filarach. Pierwszy to wspomniana słabość ustrojowa, drugi zakładał współpracę z Rosją, i to na warunkach, kiedy to Niemcy byli junior partnerem. Otto von Bismarck przez cały okres swojego urzędowania dokładał wszelkich starań, by „przede wszystkim unikać konfrontacji z Rosją". Później ta strategia uległa zmianie, co poskutkowało wojnami między Niemcami a Rosją, jednak siła niemieckiej gospodarki nadal opiera się na rosyjskich surowcach i rynkach zbytu. Powojenna polityka RFN, później zjednoczonych Niemiec, nadal czerpie pełnymi garściami z przyjaźni z Rosją. Aż do wybuchu wojny na Ukrainie w niemieckich landach odbywały się cyklicznie „Russlandtag", spotkania niemieckiego i rosyjskiego biznesu, nauki, polityki, zawsze w serdecznej atmosferze. Szef koncernu chemicznego BASF Martin Brudermüller powiedział we „Frankfurter Allgemeine Zeitung" w 2022 roku, że embargo na surowce jest „nieodpowiedzialnym eksperymentem".

Elementem kultury politycznej Niemiec, wkomponowanym w ideę Mitteleuropy, jest na pewno przekonanie o wyższości kulturowej Niemców nad resztą Europy, a już szczególnie nad ludami słowiańskimi. Prof. Kucharczyk, przywołując głośne dzieło Neumanna, twierdzi, że w tej polityce „chodziło o dominację przede wszystkim w sferze kultury, bo Neumann pisze na kartach swojego bestselleru, że matrycą kulturową dla nowego środkowoeuropejskiego typu człowieka miała być niemiecka filozofia idealistyczna". „W koncepcji Neumanna nie ma takich słów jak eksterminacja czy ludobójstwo, są natomiast dwa inne kluczowe słowa – wpływ i kontrola" – wyjaśnia profesor. To Niemcy miały decydować o kierunkach i tempie rozwoju małego polskiego państwa kadłubowego. Niemiecka wyższość wiąże się nieodłącznie z protestantyzmem i pruskim militaryzmem.

Nie znamy Niemiec

To zdumiewające, że przywoływane w książce terminy i stałe elementy gry wobec Polski czy nawet przeciw Polsce naszego największego i najważniejszego sąsiada są u nas nieznane, nie ma ich w świadomości powszechnej. To również paradoks, że w III RP studiom niemcoznawczym poświęcono zdecydowanie zbyt mało uwagi. Dziwi to tym bardziej, że niemieckie fundacje państwowe, partyjne i prywatne swoją obecnością naznaczyły dosłownie wszystkie elementy naszego życia publicznego. Niemieckie fundacje istnieją w literaturze, instytucjach kultury, think tankach partyjnych, polityce, gospodarce, programach stypendialnych, mediach czy organizacjach ekologicznych. Pośród tych obfitości zabrakło miejsca na realną ocenę niemieckich intencji i idących za nimi interesów w Polsce. A te biorą swój rodowód od Wielkiego Elektora, Bismarcka, Ludendorffa, Neumanna czy Hindenburga. Zaczytujemy się w rosyjskich metodach wpływu, w księgarniach są całe regały prac tematycznych poświęconych temu zagadnieniu, ale Rosja w porównaniu do Niemiec, jeśli chodzi o liczbę fundacji i ośrodków kształtujących opinię publiczną, w tym mediów w Polsce, jest tylko ubogą krewną Niemiec.

> Zaczytujemy się w rosyjskich metodach wpływu, ale Rosja w porównaniu do Niemiec, jeśli chodzi o liczbę fundacji i ośrodków kształtujących opinię publiczną, w tym mediów w Polsce, jest tylko **ubogą krewną Niemiec**.

I jeszcze jeden aspekt polityki niemieckiej, mało w Polsce przywoływany, to polityka „dziel i rządź" autorstwa głównie Ericha Ludendorffa i Paula von Hindenburga. W okresie I i II wojny światowej niemieccy sztabowcy dołożyli wszelkich starań, by skłócić Polskę z sąsiadami. „Polityka współkierowanego przez Paula von Hindenburga Ober-Ostu na Kresach była prosta: wprowadzenie antagonizmów polsko-litewskich, polsko-białoruskich i polsko-ukraińskich, co w dużej mierze się udało, tak aby sami Niemcy mogli występować jako rozjemcy, jako ci, którzy wnoszą ład i porządek w tę mozaikę narodowości, które, jeżeli by zostawić je sobie samym, rzucą się sobie do gardeł". Ludendorff, gorący zwolennik niesienia misji kulturowej na wschód, swój zapał czerpał – co warto podkreślać – z zajadłego antykatolicyzmu i niezachwianej wiary w wyższość protestantyzmu.

Wyrazem tego przekonania o wyższości był zajadły antypolonizm w Republice Weimarskiej. Wiele burz i naporów przeżywał ten twór w czasie swojego trwania, ale emocją, która spajała tamtejszą klasę polityczną, była niezgoda na samodzielne państwo polskie. „Traktat wersalski potwierdzał powrót, w sensie prawa międzynarodowego, niepodległego państwa polskiego na mapę Europy. Niepodległość Polski, zatwierdzona i uznana oficjalnie przez traktat wersalski, to dla niemieckich elit politycznych od prawa do lewa oraz milionów tzw. zwykłych Niemców była rzecz niedopuszczalna. To im się nie mieściło w głowach" – pisze prof. Kucharczyk.

eprasa.pl c60911d094

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Sukces czy porażka?

Niedawne spotkanie prezydenta Andrzeja Dudy z Donaldem Trumpem na marginesie konferencji CPAC wzbudziło wiele emocji. Głównie ze względu na to, że rozmowa potrwała nieco ponad dziesięć minut. Problem w tym, że medialna narracja całkowicie rozminęła się z rzeczywistością, co w efekcie uderzyło w prezydenta Polski.

Temat podróży Andrzeja Dudy do USA pojawił się zupełnie nieoczekiwanie, bo zaledwie z jednodniowym wyprzedzeniem. Chociaż Andrzej Duda zasugerował podczas zmian w Kancelarii Prezydenta, że priorytetem na końcówkę jego drugiej kadencji są relacje ze Stanami Zjednoczonymi, to mało kto spodziewał się, że efekty przyjdą tak szybko.

Faktem jest, że do spotkania Andrzeja Dudy z Donaldem Trumpem miało dojść już kilka miesięcy temu. W pewnym momencie spekulowano nawet, że będzie on pierwszym przywódcą, który spotka się z prezydentem -elektem USA. Jak wiemy, tak się ostatecznie nie stało, choć do USA udali się nawet prezydenccy ministrowie, by przygotować wizytę. Co się wydarzyło? Nie wiadomo.

Prezydentowi Dudzie zależało więc na spotkaniu z przywódcą USA podwójnie. W tym celu do Waszyngtonu udał się Nikodem Rachoń, wiceszef Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta RP, który miał wybadać grunt ws. ewentualnego spotkania. Okazało się, że może do niego dojść na marginesie konferencji CPAC. Tyle tylko że Amerykanie od samego początku jasno informowali, że Donald Trump będzie miał maksymalnie pół godziny, a więc w praktyce ok. 20–25 minut.

Do spotkania doszło, choć w wyniku spóźnienia Donalda Trumpa rozmowa potrwała nieco ponad dziesięć minut, co posłużyło niektórym do ataku na Andrzeja Dudę. Problem w tym, że niedźwiedzią przysługę prezydentowi zrobiła niestety Telewizja Republika, która najpierw informowała o godzinnym spotkaniu i pompowała je do granic możliwości, by później, zupełnie irracjonalnie cały czas transmitować (z ukrycia?) Andrzeja Dudę, który czekał na Donalda Trumpa. Tak, krótki obrazek można było pokazać, ale tylko tyle. Inna rzecz, że pojawiły się informacje, według których prezydent miał nawet nie mieć świadomości, że jest nagrywany. To w połączeniu z krótkim spotkaniem nie dość, że wizerunkowo wypadło słabo dla Andrzeja Dudy, to jeszcze stało się pretekstem do kpin i narracji o „upokorzeniu" prezydenta Polski.

Niedługo później okazało się, co w mediach wybrzmiało o wiele gorzej, że później doszło do drugiego, o wiele dłuższego spotkania Andrzeja Dudy z Donaldem Trumpem. Biorąc pod uwagę dynamikę spraw międzynarodowych, a zwłaszcza tę w naszej części Europy, jak również napięty kalendarz Donalda Trumpa, dobrze, że do tego spotkania w ogóle doszło. Zwłaszcza że prezydent Duda usłyszał, że Amerykanie nie zamierzają wycofywać swoich wojsk z naszego kraju. Biorąc to pod uwagę, wydaje mi się, że pisanie w tym kontekście o upokorzeniu prezydenta Polski jest co najmniej pomyłką. No, chyba że gdzie indziej będziemy szukać winnych.

eprasa.pl c60911d094

O fenomenie AfD

„Sejm jest gotowy na współpracę z nowym Bundestagiem dla silnej gospodarczo i militarnie Europy. **Polski parlament pozostanie jednak zamknięty dla AfD** – nie ma miejsca na kooperację z tymi, którzy chcą rewizji polsko-niemieckich granic i podważają fundamenty polskiego państwa" – napisał po wyborach w Niemczech marszałek polskiego Sejmu Szymon Hołownia. AfD, obsadzona w roli czarnego charakteru niemieckiej polityki, wyborów jeszcze nie wygrała. Rządzić będą ci, co zawsze, być może ostatni raz. Skąd jednak wziął się fenomen partii, która formalnie w opisach polityki Niemiec oznaczana jest kolorem błękitnym, ale i tak wszyscy malują ją na brunatno? W Polsce wbrew pozorom nie tak trudno to zrozumieć.

Krzysztof Karnkowski

Po wyborach, które odbyły się w zeszłym roku w niektórych landach wschodnich Niemiec, część obserwujących tamtejszą politykę i współtworzących ją wpadła w stan bliski paniki. Poza opozycyjną w tamtej kadencji CDU-CSU tradycyjne partie polityczne zaliczyły spektakularne spadki poparcia, a uważana za skrajną prawicę AfD zdobywała wyniki, które nie dawały jej nigdzie większości, ale wymagały od reszty ugrupowań naprawdę karkołomnych zabiegów, takich jak wchodzenie przez chadeków w sojusze z BSW, partią niemniej od AfD radykalną, tyle że odwołującą się wprost do tęsknot za komunizmem, Rosją i NRD. A przecież ci sami chadecy formalnie mają szlaban na współpracę nie tylko z Alternatywą dla Niemiec, lecz i postkomunistyczną Die Linke, z której BSW, dodając sobie do starego programu elementy ksenofobii, wypączkowało. W sytuacji, gdy wybory w Stanach Zjednoczonych wygrał Donald Trump, a jego współpracownik Elon Musk zaczął wprost wspierać szefową Alternatywy Alice Weidel, niektórzy zaczęli się nawet obawiać, że radykałowie są w sondażach niedoszacowani i mogą na ostatniej prostej wręcz prześcignąć CDU. Wtedy mogłoby być już naprawdę nieciekawie, zważywszy na to, że potencjalni partnerzy do koalicji „zapory ogniowej" nie mogli być pewni ani dobrego wyniku, ani nawet miejsc w Bundestagu.

eprasa.pl c60911d094

Rys. Krzysztof Karnkowski

„Wielka koalicja” czy sojusz przegrywów?

To nie jest mały deszcz z wielkiej chmury, choć niemiecki główny nurt jeszcze umknął spod populistycznego topora. Alternatywa dla Niemiec zdobywa ostatecznie drugie miejsce a zarazem prawie dwa razy większe poparcie procentowe niż w poprzednich wyborach – 20,5% – w skali kraju, ponieważ w niektórych miejscach na wschodzie liczba ta przekracza na ogół 30, a nawet 40%. Dawna NRD, w poprzednich wyborach zdominowana przez SPD, tym razem zabarwiła się na mapach błękitem. Tylko największe miasta wybrały inaczej, ale też dając mainstreamowi czerwoną kartkę i stawiając najczęściej na postkomunistyczne Die Linke. Z partii, które uzupełniały poprzednią koalicję rządową, Zieloni zmniejszyli stan posiadania o niemal 1/3, a liberałowie z FDP nie przekroczyli progu wyborczego. Podobnie zresztą jak BSW. I tylko to umożliwia powołanie dwuczłonowej koalicji chadeków i socjalistów. Tyle że choć zwyczajowo takie porozumienie zwykło się nazywać „wielką koalicją”, o żadnej wielkości nie może już być mowy. SPD odnotowało najgorszy wynik w historii partii i straciło blisko połowę mandatów. CDU-CSU wygraną świętuje też raczej z dobrą miną do złej gry, otrzymawszy najsłabsze (nie licząc 2021 r.) poparcie od 1949 roku. Ponad milion wyborców CDU i kilkaset tysięcy zwolenników SPD tym razem poparło Alternatywę dla Niemiec. W efekcie przyszły rząd będzie miał w Bundestagu 328 z 630 miejsc (w poprzedniej kadencji taka koalicja mogłaby liczyć na ponad 400 mandatów). Zważywszy

AfD ZDOBYŁA DRUGIE MIEJSCE W WYBORACH, UZYSKUJĄC ZARAZEM PRAWIE DWA RAZY WIĘKSZE POPARCIE PROCENTOWE NIŻ W POPRZEDNICH WYBORACH.

asa.pl c60911d094

na rozbieżne strategie, nie będzie miał też zbytniego pola do działania. Ratując kraj przed przejęciem władzy przez AfD, nie będzie równocześnie w stanie przeprowadzić żadnych znaczących reform, które zlikwidowałyby przyczyny poparcia dla tej partii. Aby je poznać, musimy cofnąć się niemal do upadku muru berlińskiego.

RZĄD, RATUJĄC KRAJ PRZED PRZEJĘCIEM WŁADZY PRZEZ AfD, NIE BĘDZIE RÓWNOCZEŚNIE W STANIE PRZEPROWADZIĆ ŻADNYCH ZNACZĄCYCH REFORM, KTÓRE ZLIKWIDOWAŁYBY PRZYCZYNY POPARCIA DLA TEJ PARTII.

Kolonizacja NRD

W 1990 roku dochodzi do zjednoczenia Niemiec. Proces ten nie przebiega idealnie, a nastroje bardzo szybko oddalają się od początkowego entuzjazmu. Choć rzecz dzieje się w ramach jednego narodu, patrząc na nią w sposób krytyczny, można nazwać to, co się wydarzyło, politycznym i gospodarczym anszlusem. Jak w soczewce nastroje tamtych czasów skupia w sobie szokująca sprawa morderstwa, którego nieznani do dziś sprawcy dokonali na odpowiedzialnym za proces prywatyzacji Detlevie Karstenie Rohwedderze. Rohwedder jako szef Treuhandanstalt (Urzędu Powierniczego), instytucji powołanej do przeprowadzenia transformacji gospodarczej w NRD, nadzorował proces prywatyzacji firm państwowych. Oznaczało to zamykanie nierentownych zakładów i masowe zwolnienia, co pogłębiło społeczne napięcia. Decyzje Treuhandu były często postrzegane jako dyktowane przez interesy zachodnich Niemiec, a nie dobro byłej NRD. O taki odbiór nie było trudno: sam Rohwedder był politykiem zachodniej SPD, na wschód przyniesionym niemal dosłownie w teczce, a jego decyzje były bardzo korzystne dla przedsiębiorców z dawnej RFN. Ci zakłady kupowali często za symboliczne kwoty, tymczasem poziom życia ich pracowników gwałtownie się pogarszał. Jutro stało się tak samo niepewne, jak w końcówce państwa komunistycznego. W efekcie zamiast spodziewanego ożywienia gospodarczego w wielu rodzinach pojawiła się nieznana wcześniej nędza i strach przed bezrobociem, a kierowany przez zachodniego polityka Urząd Powierniczy stał się dla wielu mieszkańców NRD symbolem rabunkowej prywatyzacji, upadku przemysłu i pogłębienia różnic społecznych. Widać tu już pewne analogie z reformami Leszka Balcerowicza, tyle że prowadzone w realiach jednego narodu, ale dwóch społeczeństw. Poczucie krzywdy pogłębić musiała też polityka personalna. Wychodząc ze słusznego założenia lustracji i dekomunizacji, niemal całą kadrę urzędniczą i kierowniczą zastąpiono zaciągiem z zachodu kraju, ludźmi bardzo często kompletnie nieświadomymi lokalnych uwarunkowań lub gorzej – całkowicie na nie obojętnymi. Zmiany te sięgały nie tylko szczytów władz, ale i absurdalnie niskiego szczebla lokalnych administracji. Ktoś mógłby skontrować, że przecież z dawnej NRD wywodziła się sama kanclerz Angela Merkel. To prawda, choć początkowo powodowało to nawet coś w rodzaju dumy, mieszkańcy wschodnich landów szybko zorientowali się, że Angela Merkel nie faworyzuje tej części kraju, nie odwołuje się do swoich doświadczeń z nią związanych, ogólnie traktuje Niemcy Wschodnie jak każdy przedstawiciel klasy politycznej z zachodu. Nie identyfikuje się nawet jako „Ossi". Później doszły jeszcze kwestie związane z jej polityką migracyjną.

Niemcy A i Niemcy B

Po niemal 35 latach od zjednoczenia widać, że nie był to proces w pełni udany ani satysfakcjonujący dla obu stron. W badaniu przeprowadzonym przez MDR z okazji Dnia Jedności Niemiec w 2021 roku 75% ankietowanych ze wschodnich krajów związkowych stwierdziło, że bycie „Niemcem ze wschodu" nadal odgrywa istotną rolę w ich życiu. Co więcej, 89% uczestników badania potwierdziło, że wciąż spotyka się z uprzedzeniami na temat NRD. Podziały te żywe są również w młodym pokoleniu. W tej samej ankiecie 82% młodych ludzi uznało, że ich pochodzenie wciąż ma znaczenie, a podział między wschodem a zachodem kraju jest zauważalny. Według danych z 2020 roku mieszkańcy dawnej RFN posiadają średnio 120 000 euro majątku własnego, podczas gdy osoby z byłej NRD jedynie 55 000 euro. Polityczne wybory w dawnym NRD są zupełnie inne niż na zachodzie kraju. Po drodze państwo niemieckie musiało mierzyć się z wieloma kryzysami, w dużym stopniu zawinionymi przez tamtejsze elity i ich ideologiczne, być może też wspierane z zewnątrz, zaślepienie. Niemcy, w zgodzie ze swoją niechlubną tradycją, ale też w reakcji na coraz

eprasa.pl c60911d094

bardziej realne problemy, zaczynają coraz bardziej nieufnie patrzeć na migrantów. Tych natomiast przybywa. Nastroje społeczne są dalekie od optymizmu, a zmiany rządów nie zmieniają nic, gdy polityka coraz bardziej przypomina chów wsobny. Trzeba więc według rosnącej grupy wyborców szukać na marginesach polityki. Zarówno na lewym (stąd popularność Die Linke i przez chwilę BSW), jak i prawym.

Gorzej wykształceni, z małych ośrodków...

Samym wschodem jednak wyborów się nie wygra, więc choć AfD w zachodnich landach wypada słabiej, to i tamtejszych wyborców uwodzi coraz skuteczniej. Antymigracyjną retoryką, ale też obietnicą powrotu do „starej, dobrej Bundesrepublik", co jest hasłem na tyle ogólnikowym, że każdy znajdzie w nim coś dla siebie. I znajduje, jak choćby setki tysięcy robotników, którzy odwrócili się od SPD. Struktura elektoratu Alternatywy dla Niemiec opiera się na wszystkich grupach społecznych, jednak najwięcej zwolenników ma wśród robotników, rzemieślników, osób o niższych dochodach i z niższym wykształceniem. Im wyższe dochody i większa miejscowość, tym większe ograniczenie elektoratu do osób bardziej konserwatywnych, reprezentujących bardzo różne grupy społeczne. Oczywiście najgorzej jest w największych miastach i wśród najlepiej wykształconych, co świadczyć może o znanym nam i z Polski oderwaniu elit od problemów zwykłych ludzi i niezrozumieniu ich. AfD jest bowiem partią sprzeciwu gospodarczego, partią atomu i tradycyjnych źródeł energii. Niestety – i tu zaczynają się kłopoty – również rosyjskiego gazu. Jest faktem, że politykom AfD zdarzają się wypowiedzi z punktu widzenia Polski niepożądane, prorosyjskie lub rewizjonistyczne (w tej partii miejsce dla siebie znalazła niesławna Erika Steinbach), tyle tylko że tak naprawdę nie jest to żaden wyróżnik w polityce Niemiec. Może tylko politycy AfD gryzą się w język rzadziej od kolegów.

Z marginesu na szczyt?

AfD, co może dziś zaskakiwać, powstawała w 2013 jako partia liberalnych gospodarczo profesorów, przeciwnych przyjęciu przez Niemcy wspólnej europejskiej waluty i lansująca demokrację bezpośrednią. W tym samym roku debiutanci zdobyli 4,7% głosów w wyborach, zaznaczając swą obecność, lecz nie wchodząc do Bundestagu. Później oblicze partii zaczęło się zmieniać, na fali społecznego niezadowolenia z imigracyjnej polityki Merkel podchwyciła antyimigranckie postulaty trochę zapomnianego ruchu ulicznych protestów Pegida, przejmując część jej działaczy i sympatyków. Pamiętajmy, że nastroje antyimigranckie były stałym elementem krajobrazu politycznego dawnej NRD (co owocowało między innymi medialnie atrakcyjnymi newsami w postaci parad neonazistów czy podpaleniami ośrodków dla azylantów), ale polityka otwartych ramion, prowadzona przez Angelę Merkel, dzielić zaczęła również Niemcy Zachodnie, zwłaszcza gdy zaczęły się rozmaite ekscesy świeżych migrantów. Równocześnie AfD łowiła w wielu innych miejscach: wśród zawiedzionych sympatyków CDU czy liberałów z FDP, a z drugiej strony marginalizując bardziej radykalnych konkurentów z prawej czy narodowo-socjalistycznej strony sceny politycznej. W efekcie w 2017 roku AfD odniosła historyczny sukces, wchodząc do Bundestagu z wynikiem 12,6% głosów. Była to pierwsza partia w niemieckim parlamencie na prawo od CDU-CSU od dziesięcioleci. Po wyborach lider partii Alexander Gauland zapowiedział „polowanie" na establishment polityczny. AfD kontynuowała krytykę polityki migracyjnej i Unii Europejskiej, zdarzały jej się żarty z politycznej poprawności (pamiętny poseł witający z nazwy wszystkie identyfikacje płciowe w czasie krótkiego wystąpienia). W wyborach w 2021 roku zdobyła 10,3% głosów, co było spadkiem w porównaniu do 2017 roku, ale utrzymała silną pozycję w landach wschodnich. Później znów zyskiwała na znaczeniu, w rytm rządowych kryzysów, narastającej frustracji i zdarzających się zbyt często zamachów terrorystycznych. Wreszcie – z powodu towarzyszącej im politycznej poprawności, niepozwalającej dyskutować o przyczynach problemu. Popularność Alternatywy wymusiła skręt w prawo innych sił politycznych, jednak jak już wspomniałem, w szerokiej koalicji zapewne wszystko zostanie po staremu. Wiele wskazuje więc na to, że albo rzeczywistość wymusi współpracę chadeków z AfD jeszcze w tej kadencji, albo nie da się już od niej uciec po kolejnych wyborach.

AfD JEST PARTIĄ SPRZECIWU GOSPODARCZEGO, PARTIĄ ATOMU I TRADYCYJNYCH ŹRÓDEŁ ENERGII. NIESTETY – I TU ZACZYNAJĄ SIĘ KŁOPOTY – RÓWNIEŻ ROSYJSKIEGO GAZU.

eprasa.pl c60911d094

Laboratorium niemieckich wpływów

Zaczęło się podziemnie w latach 60./70. Konceptualizm zrównywano z walką z socsystemem. Dekadę później buntownicze niemieckie koncepcje wśliznęły się do PRL-u jeszcze przed solidarnościową rebelią. Kolejna dekada, kolejny niemiecki import – nowa dzikość lat 80. Idealnie przystawała do zbiorowych nastrojów. Ale od lat 90. Niemcy **wciąż nadają ton** polskiej artystycznej awangardzie. Tym razem nie chodzi o pięknoduchostwo, lecz o rząd dusz. I interesów. Z kontestacji – w mainstream.

Monika Małkowska

Piłowali fortepian, skrzypce, a przede wszystkim – tradycję. Międzynarodowy ruch artystyczny Fluxus (z łaciny – płynący) rozwijał się od końca lat 50. ubiegłego wieku, wzmógł się dekadę później. Przekraczanie granic gatunku i zdrowego rozsądku sięgało dadaistycznego sprzeciwu z czasów I wojny światowej, następnie przejętego przez surrealistów. Zaczynali hałaśliwie: w 1964 roku odbył się w Berlinie „koncert" (happening?), w trakcie którego wiolonczelistka Charlotte Moorman wykonała „Wariacje na temat Saint-Saënsa" skomponowane przez Nam June Paika, wchodząc do wanny z wodą i policzkując kompozytora, zgodnie z zaleceniami partytury. W 1966 roku w Nowym Jorku za wykonanie „Opera sexatronique" parę tych artystów aresztowała policja, gdyż w trakcie grania dzieła Moorman robiła striptiz. Fluxus, krzewiciel konceptualizmu, za sztukę uznawał samą ideę oraz proces twórczy.

To musiało podziałać na wyobraźnię twórców w kraju biedy i buzującej podskórnie ideologicznej niezgody. Nie dostrzegano infantylizmu nowego programu sztuki ani zerowej wartości wytworów tegoż. Implementowanie na polski wciąż poodwilżowy grunt (lata 60.) zachodniej awangardy artystycznej było wtedy jak terapia szokowa Balcerowicza. Ci, którzy się załapali, uważali się za krzewicieli nowoczesności. Ta zaś szła zza Odry. Wszystko na zasadzie bezgotówkowej, pozasystemowej wymiany. W latach 70. zakręciło też muzycznie: do Polski „uciekła" Nina Hagen, później zwana „matką chrzestną punk rocka", która zakotwiczyła w środowisku komuny Teatr Esperanto, gdzie atmosferę grzali Kamil Sipowicz i Ryszard Terlecki, obydwaj w polu rażenia talentu Kory. A punk w polskim wydaniu brzmiał jak krzyk niezgody na rzeczywistość.

> W 1964 roku odbył się w Berlinie „koncert" (happening?), w trakcie którego wiolonczelistka Charlotte Moorman wykonała „Wariacje na temat Saint-Saënsa" skomponowane przez Nam June Paika, wchodząc do wanny z wodą i **policzkując kompozytora**, zgodnie z zaleceniami partytury.

Podarunek dla artystów życia

Był sierpień 1981 roku, apogeum Solidarnościowego uniesienia. Do Łodzi wjechała furgonetka wioząca wielką drewnianą skrzynię zapakowaną w próżniową folię. Jak się okazało – pojazd wiózł dar dla Polski, a konkretnie dla łódzkiego Muzeum Sztuki.

Ofiarodawcą okazał się słynny na cały świat niemiecki artysta Joseph Beuys, który w tamtym czasie uznał, że sytuacja w naszym kraju odpowiada jego wizji odnowy społeczeństwa w myśl idei równości i solidarności społecznej. „Polentransport" (Transport do Polski) zawierał domowe archiwum Beuysa z lat 1950–1980: grafiki, plakaty z akcji artystycznych, zdjęcia i inne dokumenty z trzech dekad jego działalności. Tak naprawdę, śmiecio-

eprasa.pl c60911d094

Był sierpień 1981 roku, apogeum solidarnościowego uniesienia. Do Łodzi wjechała furgonetka wioząca wielką drewnianą skrzynię zapakowaną w próżniową folię. Jak się okazało – pojazd wiózł dar dla Polski. „Polentransport" zawierał domowe archiwum Josepha Beuysa z lat 1950–1980: grafiki, plakaty z akcji artystycznych, zdjęcia i inne dokumenty z trzech dekad jego działalności.

Fot. archiwum Muzeum Sztuki w Łodzi / pl.wikipedia.org

nudziarstwo. Ale nikt tego głośno nie śmiałby powiedzieć.

Niemiecki guru zaistniał w światowej artystycznej konstelacji stwierdzeniem, że „każdy człowiek jest artystą". Chwytliwo-wywrotowy slogan, powtarzany w setkach wariantów, zrewolucjonizował postrzeganie i wartościowanie dokonań w dziedzinie sztuk wizualnych. Co ważniejsze: Beuys uważał, że „społeczeństwo można kształtować jak materię plastyczną w rzeźbie, a przemiany społeczne są możliwe bez użycia przemocy, w powolnym procesie ewolucji, dzięki twórczemu myśleniu i działaniu".

Miód na rozum naszych elit intelektualnych. Nie dziwota, że większego boga sztuki nad Beuysa w Polsce nie było. Niemiec? Ale inny! Doświadczony negatywnie wojną!

Chwila wspomnień: Joseph Beuys, rocznik 1921, służył w Luftwaffe. Zestrzelony podczas zadań bojowych nad Krymem, mocno poturbowany, został ocalony przez autochtonów, którzy leczyli go tradycyjnymi metodami – smarowali łojem, owijali wojłokiem. Te materie stały się tworzywem twórczym w dalszej drodze artysty. Beuys, za młodu student biologii i zoologii, po wojnie zajął się sztuką. W latach 60. włączył się w przywołany powyżej ruch Fluxus, propagując teorię o tym, że każdy jest artystą kształtującym świat wokół siebie. „Jesteśmy artystami w swoim życiu". Sztuka miała stać się rodzajem terapii i zawładnąć wszystkimi dziedzinami życia.

Dzika niewinna kontrrewolucja

Konceptualizm i postdadaizm wypaliły się – jak wszystkie prądy/teorie. Przede wszystkim znudził się brak wizualnych efektów. Co, smażenie frytek czy szorowanie podłogi to też sztuka? No, nie przesadzajmy... (Zabawne – wróciło w 2001 roku w obieraniu kartofli w Zachęcie przez Julitę Wójcik). Końcówka lat 70. i następna dekada należała do malarzy. Prawdziwych, robiących obrazy na płótnie. Lata 80. zdobyli szturmem artyści spod znaku Neue Wilde (najbardziej znani: Baselitz, A.R. Penck, Fetting, Salome, Middendorf). Nawiązywali do protoplastów z początku XX stulecia – do niemieckich ekspresjonistów (formacja czynna od 1905). W Polsce natychmiast kupiliśmy

eprasa.pl c60911d094

tę konwencję. Emocje buzowały, wprowadzenie stanu wojennego zaś stało się akceleratorem plastycznej rewolty. Malarską dzikość identyfikowano z nonkonformizmem i niezgodą na dominantę „czerwonych". Pokolenie kończące uczelnie plastyczne w postanowojennych latach brało pędzle w garści i smarowało po płótnach, jak ekspresjoniści sprzed ośmiu dekad. Ich brutalizm i agresja nie tylko ukształtowały estetykę przedprzełomowych lat – formatowały także postawę. Nasi „dzicy" trochę prowokowali (jak to młodzi), trochę kontestowali, trochę przeczuwali dogorywkę komuny. Kluło się coś nowego, jakby wolność?...

Znamienne: nasze „neodzikie" grupy – Gruppa, Luksus, Koło Klipsa, jak i wielu pojedynczo aktywnych artystów – nie za bardzo czuły się kontestatorami socsystemu. Po prostu nie lubiły jakichkolwiek ograniczeń. Z tej młodzieńczej niezgody płynnie przeszły w inne ideologiczne uzależnienie, którego nie zauważyły, bo nadeszło z zewnątrz. Z zachodniej Europy, do której tak bardzo staraliśmy się doszlusować.

Zdalne niemieckie sterowanie

Być artystą – znaczy zawsze zachować w sobie coś z dziecka, bo nadmiar świadomościowy paraliżuje kreatywność. Kiedyś mecenasami sztuki byli możni lub rządzący i trzeba było im schlebiać. Po 1989 roku okazało się, że osoby twórcze z tych decydenckich i sprawujących rząd dusz skopano do bieda-klasy. Po prostu reforma Balcerowicza nie uwzględniała wolnych zawodów. Żadnych ulg, żadnych bonusów, żadnych emerytur! Darmozjady, a nie piewcy idei. Wtedy Niemiec wyciągnął pomocną dłoń, której z pocałowaniem uchwyciły się twórcze elity.

Teraz już nie koncepcje, nie stylistyka, lecz ideologia stały się ważne. Dam kilka przykładów, które ilustrują proces, choć nie oddają jego zakresu. W 1991 roku powołana została Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej, wspierająca finansowo przedsięwzięcia zbliżające obydwa narody. Fundacja ma dwa domy: w Berlinie i w Warszawie (Zielna 37). Dystrybuuje dotacje w rozmaitych obszarach – od gospodarki i środowiska poprzez media i opinię społeczną (tę też można dofinansowywać, czytaj: kształtować) do nauki, edukacji, kultury. Od 1991 do 2021 roku FWPN wsparła ponad 16 tysięcy projektów na kwotę 312 mln euro (ponad 1,3 mld zł). Gdyby ktoś pytał o założenia: „U podstaw działań FWPN leży przekonanie, że Polacy i Niemcy jako partnerzy mogą wspólnie działać na rzecz nowoczesnego, otwartego i sprawiedliwego społecznie współistnienia w UE. W tym sensie oba kraje tworzą wspólnotę wartości. Wymaga ona, aby dwustronność relacji nabrała nowego wymiaru i nowej jakości, a także zawierała kontekst europejski".

> Reforma Balcerowicza nie uwzględniała wolnych zawodów. Żadnych ulg, żadnych bonusów, żadnych emerytur! **Darmozjady**, a nie piewcy idei.

Nie jedyna to fundacja formatująca (nagradzająca) poprawne twórcze myślenie. Inny ważny wskaźnik: od 2003 roku istnieje konkurs (i nagroda) „Spojrzenia" – Nagroda Fundacji Deutsche Bank, współpracującej z Zachętą, gdzie odbywają się pokazy artystów z short list. Główna nagroda wynosi 10 tys. euro plus pobyty stypendialne dla zdobywców dalszych miejsc. Jakie projekty wygrywają? W głównym natarciu ewolucja seksualna i walczący feminizm. Ale kompetycji z budżetem niemieckim jest więcej. Podobnym tropem podąża Artystyczna Podróż Hestii. Program dotacyjny (na ubiegły rok) służył „wspieraniu praktyk i projektów artystycznych pozwalających lepiej zrozumieć wyzwania teraźniejszości i poszerzać nasze wyobrażenia o przyszłości, otwierając nasze umysły na nowe scenariusze zmian". Najważniejsze: kultura może być otwarta, różnorodna i inkluzywna. Jasne, jakże może być inna?

Ziemia do szczęścia

Ciekawych palety fundacji niemieckich działających u nas w zakresie kultury i oświaty odsyłam do sieci. Tu przywołam jedną z przodujących: Goethe-Institut, matuzalem wśród organizacji propagujących kulturę niemiecką, istniejący od 1952 roku, „trzeci filar niemieckiej polityki zagranicznej" od czasów Brandta. W Warszawie GI utworzył swój oddział w 1990 roku; dwa lata później w Krakowie. Taż instytucja stoi za wieloma projektami realizowanymi u nas za niemieckie fundusze. W tym nakręca wieloletnie przedsięwzięcie artystyczno-badawcze, zainicjowane w 2022 roku we współpracy z Centrum Kultury i Urbanistyki w Berlinie oraz Bęc Zmianą – „Laboratorium badań nad szczęściem". Leci to tornadem przez pięć polskich miast i kilka podmiotów uczestniczących w projekcie (uczelni i galerii). Na czym, według niemieckich wytycznych, sztuka powinna się teraz koncentrować? Migracja roślin, regeneracja gleby, deficyt wody pitnej, zapobieganie izolacji i osamotnieniu, poszukiwanie źródeł optymizmu. Bo nadciąga katastrofa klimatyczna i tylko Zielony Ład ją powstrzyma. Zamiast więc robić sztukę – skorzystajmy z glebiaka, pojemnika na ziemię, z którego bezpłatnie można pobierać ziemię do roślin. Co posadzisz, to wyrośnie, na unijną chwałę!

eprasa.pl c60911d094

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

Czapka „MAGA” to klapki na oczach

Jan Wróbel

Gdyby Donald Tusk żartował z prezydenta Ukrainy, że to „słaby komik”, i dodał, że Ukraina sprowokowała Rosję do „konfliktu”, zostałby przez PiS rozniesiony na strzępy, przynajmniej w internecie. Kiedy tak robi prezydent USA, z PiS-owców wychodzi ta sama polska przypadłość, którą nieraz (i trafnie na ogół) wskazywali oni w działaniu polskich elit. Chodzi o uległość wobec możnych Ludzi z Zachodu. PiS lubi teraz powtarzać za swoim prezesem, że Tusk „przewodzi antyamerykańskiej rebelii”. Tyle że Donald Trump przewodzi antyeuropejskiej i prorosyjskiej rebelii. Głosowanie delegata amerykańskiego w ONZ ramię w ramię z Rosją, Koreą Północną i Białorusią, a przeciwko m.in. Polsce, powinno zatrząść polityką polską. Jak na razie jednak PiS zdaje się grać w chowanego. No cóż, rozkłada ręce, nie wiemy, co naprawdę zamierza Trump, ale przecież on na pewno nie skrzywdzi swojej ukochanej Polski. Dość zresztą o wojnie, opowiedzmy raczej, jak to pan prezydent z Ameryki strasznie wk... te niedobre rządy Zachodu, które przeszkadzały nam, kiedy rządziliśmy. Hurra! Rosja zawrze pokój z USA, a nie z Ukrainą, dostanie nie tylko łupy, ale i pełne zrozumienie racji, które pchnęły ją do „konfliktu”? Nic to. Byle kanclerz Niemiec, premier Holandii i prezydent Francji mieli sine twarze, to wyszło na nasze.

Nie chcę wdziewać szat mędrca, który oczywiście wie wszystko lepiej od polityków, i gdyby tylko sam był politykiem... Kibic świetnie wie, jak wygrywać z Ruchem Chorzów, dopóki sam nie spróbuje być trenerem. Jest jednak wyraźnie dostrzegalne, że stoimy wobec zmian w położeniu Europy i Polski, których skala jest bezprecedensowa. Bardzo wiele z tego, co myśleliśmy i mówiliśmy przez ostatnie dekady, właśnie straciło aktualność. I na pewno udawanie, że można dalej ciągnąć wczorajsze narracje o Ameryce i Zachodzie, jak gdyby nigdy nic, jest po prostu infantylne.

Zmienia się. Zmienia na gorsze. Nasza polityka, czy platformerska, czy PiS-owska, opierała się na fundamencie zachodnim. Zachód bez istotnego wkładu Ameryki jest czymś diametralnie różnym. Rozumiem, że politycy PiS, przez lata starający się o zacieśnianie więzów z USA, mają dzisiaj psychologiczny i polityczny problem z przystosowaniem się do nowej, nierozczytanej w pełni sytuacji. To jeszcze nie powód, by oszukiwać – a oszukiwaniem jest trzymanie się opowieści, w której „bezradny Zachód” powinien słuchać się Trumpa, bo Ameryka wie lepiej. Ona lepiej wie, jak poddać się Putinowi! Panie i panowie: będzie reset z Rosją, zbójeckim państwem mordującym ludzi dla realizacji krwawych, imperialnych rojeń. Będzie uznanie dla militarnych podbojów. Będzie kupowanie sympatii Rosji kosztem państw z nią graniczących. Tę drogę wskazał prezydent Trump. Pora zdjąć z polskich główek czapki z napisem „MAGA”.

POLITYCY PiS, PRZEZ LATA STARAJĄCY SIĘ O ZACIEŚNIANIE WIĘZÓW Z USA, MAJĄ PSYCHOLOGICZNY I POLITYCZNY PROBLEM Z PRZYSTOSOWANIEM SIĘ DO NOWEJ SYTUACJI.

eprasa.pl c60911d094

Polska cofnęła się o trzy dekady. Prawo znów jest dla wybranych, w kraju najlepsze interesy robi mafia, demokracja staje się jedynie **fasadą**, na wszystko brakuje pieniędzy, a jedynym sposobem na rządzenie jest łupienie obywateli.

Mariusz Staniszewski

Renesans władzy PATOLOGICZNEJ

Niewątpliwie znajdujemy się w okresie transformacji ustrojowej. Nie tak gwałtownej jak wówczas, gdy upadał komunizm, ale znów zapanowało prawo silniejszego. Demokracja stała się tylko grą pozorów, która ma usprawiedliwiać kolonizowanie państwa przez wąskie grupy interesów, a ważniejsze od realizowania woli wyborców jest stworzenie systemu, w którym opozycja nie będzie w stanie odzyskać władzy. Z automatu rządy mają przynależeć tylko do jednej formacji ideologiczno-politycznej.

W latach dziewięćdziesiątych XX wieku życie polityczne zdominowało środowisko „Gazety Wyborczej", której emanacją polityczną była Unia Demokratyczna. Ta przekształciła się najpierw w Unię Wolności, a potem w pewnej mierze w Platformę Obywatelską. Istotą sprawowanej wówczas władzy było zapewnienie interesów przedstawicielom tego środowiska. Nawet jeśli bezpośrednio nie tworzyli rządu jak w latach 1993–1997 czy 2001–2005, byli nietykalni. Mieli więc w rękach wszystkie instytucje, które w rzeczywistości realizowały politykę państwa.

Przez dwadzieścia pięć lat nie następowała więc wymiana elit, a jedynie ewentualnie dokooptowywano przedstawicieli innych środowisk. Jednakże tylko tych, którzy akceptowali obowiązujące zasady gry.

eprasa.pl c60911d094

Fot. Adam Chełstowski / Forum

Ten duszny system, który swoimi korzeniami sięgał jeszcze głębokiego PRL-u, był więc mocno zdegenerowany. Oczywistą konsekwencją tego był duży udział we władzy różnorakich grup przestępczych, które cieszyły się bezkarnością, a często wręcz ochroną polityków.

Syndrom „Słowika"

Przykładów bliskich powiązań światów polityki i gangsterki możemy znaleźć setki. Najbardziej symboliczne w latach dziewięćdziesiątych było jednak ułaskawienie przez ówczesnego prezydenta Lecha Wałęsę jednego z przywódców mafii pruszkowskiej Andrzeja Z. „Słowika". Nieoficjalnie media donosiły wówczas, że w zamian za akt łaski dwaj ministrowie z Kancelarii Prezydenta mieli otrzymać sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów łapówki.

Równie spektakularna była działalność biznesmena o esbeckich korzeniach – Aleksandra Gawronika – który najpierw w dniu uwolnienia obrotu walutą otworzył sieć kantorów, a potem został likwidatorem spółki Art-B, która wyłudzała miliardy złotych z polskiego systemu bankowego.

Dziś dawni gangsterzy założyli garnitury i nie chcą już rozgłosu, strzelanin oraz pościgów. Wiedzą, że w ich branży najważniejsza jest cisza, dlatego przerzucili się na wyłudzanie VAT. Jak informuje Krajowa Administracja Skarbowa, w ubiegłym roku odnotowano największą liczbę lewych faktur od 2018 roku – to za ich pomocą wyłudza się z budżetu państwa VAT – czyli 291 633. Na dodatek państwo przestało w rzeczywistości szukać organizatorów przestępczego procederu, a skupia się na wyłapywaniu tzw. słupów, czyli osób, często bezdomnych, których dane są wykorzystywane do przestępstw.

Zarobić na państwie

Kolejną patologią lat transformacji była oligarchizacja gospodarki. Jan Kulczyk mógł kupić monopolistę na rynku telefonicznym Telekomunikację Polską S.A. i następnie z ogromnym zyskiem odsprzedać ją Francuzom. Ci przejmowali nie tylko silne przedsiębiorstwo, ale także ogromny rynek.

Państwo, które pozwalało na budowanie przestępczych i oligarchicznych fortun wybranym, potrafiło jednocześnie niszczyć dobrze rozwijające się, innowacyjne firmy. W ten sposób przestały istnieć na przykład dwa podmioty z branży IT – wrocławska JTT oraz słynny Optimus Romana Kluski.

Ten sam sposób działania powtórzył się w czasie poprzedniej kadencji Donalda Tuska. Osłona służb specjalnych i milczenie instytucji państwa spowodowały wówczas, że swoją piramidę finansową Amber Gold mogli utworzyć Marcin Plichta i jego żona Katarzyna. Ich OLT Express miały także przejąć polskiego narodowego przewoźnika LOT, ale przekręt stał się zbyt głośny i zajęły się nim organa ścigania. Sprawa doczekała się jednak rozwiązania dopiero po utracie władzy przez koalicję PO – PSL. Najpierw powołano komisję śledczą, która wykazała, że prokuratura, Komisja Nadzoru Finansowego oraz służby specjalne wykazywały się wyjątkową opieszałością w ściganiu oszustów. Później skazujące wyroki zapadły w sądach.

Dziś widzimy, że z jednej strony rząd nie ma żadnego planu ratowania strategicznej dla państwa spółki Poczta Polska, a z drugiej zaprasza do bliskiej współpracy Rafała Brzoskę, właściciela konkurencyjnego dla Poczty InPostu. To on ma się zajmować deregulacją i przynieść premierowi propagandowy sukces.

Bez wsparcia państwa pozostają całe branże – transportowa, rolnicza, drzewna, meblarska. Państwo odsuwa od siebie odpowiedzialność za funkcjonowanie gospodarki.

Polityczny kryminał

Nieodłącznym elementem ustrojowej transformacji były tajemnicze śmierci polityków, wysokich urzędników czy oficerów służb specjalnych, którzy zajmowali się niewygodnymi dla władzy sprawami. Do dziś nie wyjaśniono śmierci Michała Falzmana, inspektora Najwyższej Izby Kontroli, Waleriana Pańki, prezesa NIK, gen. Marka Papały, komendanta głównego policji, ›

eprasa.pl c60911d094

czy Ireneusza Sekuły, byłego posła i prezesa Głównego Urzędu Ceł.

Lista jest oczywiście znacznie dłuższa, ale w każdym wypadku mamy do czynienia z ludźmi, którzy mieli wiedzę o poważnych nadużyciach władzy bądź uczestniczyli w jakimś przestępczym procederze.

Mechanizm ten powtórzył się w czasie rządów koalicji PO – PSL. W niewyjaśnionych okolicznościach zginęli wówczas Andrzej Lepper, lider Samoobrony, dwoje jego prawników oraz doradca z czasów, gdy był wicepremierem i ministrem rolnictwa. Seria wypadków i samobójstw dotknęła także osoby badające katastrofę smoleńską. Zginęli operator TVN, który pierwszy znalazł się na miejscu tragedii, archeolog prowadzący badania w Smoleńsku i ekspert do spraw lotnictwa, który badał przyczyny zdarzenia. W żadnym przypadku nie odnaleziono winnych.

Dziś władza przyjmuje nieco inne metody, ale równie bandyckie. Polityczni przeciwnicy i osoby związane z opozycją są ścigane, fabrykowane są dowody ich winy i stawiane fikcyjne zarzuty. Na ich podstawie dokładnie wyselekcjonowani prokuratorzy i sędziowie wsadzają tych ludzi do aresztów, gdzie są traktowani jak szczególnie niebezpieczni przestępcy. Poniżenia, odbieranie snu i godności wielu może doprowadzić do samobójczej śmierci lub złamać na całe życie.

Stosowanie tortur wobec słabych urzędniczek Ministerstwa Finansów i ks. Michała Olszewskiego miało być przestrogą dla innych. Co zresztą zadziałało – na współpracę z bodnarowską prokuraturą poszli inni urzędnicy, którzy pracowali dla poprzedniej ekipy.

Bezradna policja

Do czasu powołania przez rząd AWS Centralnego Biura Śledczego Policji stałym elementem polskiego życia, szczególnie dużych miast, było panoszenie się gangów. Niszczyły drobny biznes, terroryzowały handlowców, korumpowały urzędników i policjantów. Kontrolowały handel narkotykami, prostytucję, przemyt alkoholu i papierosów.

Zmiany w prawie oraz współdziałanie różnych państwowych służb doprowadziły do wyeliminowania albo przynajmniej zmarginalizowania najbardziej brutalnych form przestępczości. Dziś to zagrożenie wraca. Gangsterów z Pruszkowa czy Wołomina zastępują jednak bandyci z Gruzji, Czeczenii, Kazachstanu czy Ukrainy. Pojawiają się napady na konwoje, wymuszenia i pobicia. Handlowcy z centrum przy ul. Marywilskiej w Warszawie mówili wprost, że są terroryzowani przez Czeczenów. Prawdopodobnie to właśnie porachunki grup przestępczych były powodem spalenia hali.

Najbardziej ucierpieli polscy drobni przedsiębiorcy, którzy nie tylko stracili towar, ale też miejsce, w którym mogli handlować, a więc utrzymywać rodziny. Sami policjanci nieoficjalnie przyznają, że są bezradni, a dodatkowo w służbie rośnie liczba wakatów. W samej Warszawie brakuje dwa i pół tysiąca policjantów.

W ten sposób znika jeden z głównych atutów Polski, który podkreślali odwiedzający nas turyści. Warszawa, Kraków, Gdańsk, Wrocław i inne miasta w odróżnieniu od aglomeracji w Europie Zachodniej były po prostu bardzo bezpieczne.

Przykład idzie z góry

Każde państwo psuje się jednak od góry. Jeśli władza siłą przejmuje instytucje i lekceważy przepisy prawa, daje tym samym przyzwolenie przestępcom na postępowanie w ten sam sposób.

Taki sam proces widzieliśmy w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Wszechogarniająca korupcja i nepotyzm powodowały, że organa państwa stawały się dysfunkcyjne. Działały nie po to, by pomagać obywatelom, ale dawać pracę partyjnym notablom i ich rodzinom oraz chronić interesy władzy.

Dziś mamy do czynienia z podobnym procesem. Nawet ambitni urzędnicy, funkcjonariusze, menedżerowie czy prokuratorzy nie angażują się w wypełnianie swoich obowiązków, gdyż za to może spotkać ich kara. Nagradza się tych, którzy są w stanie przysłużyć się władzy.

Dlatego ze złamaniem prawa nominację na prokuratora krajowego otrzymał Dariusz Barski, który umorzył śledztwo w sprawie śmierci Jolanty Brzeskiej, kobiety, która walczyła o prawa lokatorów w stolicy. Była solą w oku urzędniczo-sędziowskiej sitwy, która za przyzwoleniem pochodzących z PO władz Warszawy przeprowadziła tu przestępczą reprywatyzację.

JEŚLI WŁADZA SIŁĄ PRZEJMUJE INSTYTUCJE I LEKCEWAŻY PRZEPISY PRAWA, DAJE TYM SAMYM PRZYZWOLENIE PRZESTĘPCOM NA POSTĘPOWANIE W TEN SAM SPOSÓB.

eprasa.pl c60911d094

Państwo musi uratować Grupę Azoty

– Zadłużenie na poziomie 11,5 mld zł jest niemożliwe do spłacenia bez pomocy państwa. Z naszych wyliczeń wynika, że pracownicy Grupy Azoty musieliby pracować za darmo przez 60 lat, aby to spłacić. Państwo musi dofinansować Azoty, żeby uwolnić koncern od gigantycznego zadłużenia – mówi **Piotr Łusiewicz**, przewodniczący Krajowego Sekretariatu Przemysłu Chemicznego NSZZ „Solidarność", w rozmowie z **Marcinem Krzeszowcem**.

– Europejski rynek zalewają tanie nawozy ze Wschodu, na czym traci polski czempion – Grupa Azoty. Pod koniec stycznia tego roku Komisja Europejska przyjęła propozycję nałożenia ceł na niektóre nawozy azotowe z Rosji i Białorusi. Czy Pana zdaniem ich wprowadzenie zażegna ten kryzys?

– Same cła na białoruskie i rosyjskie nawozy nie rozwiążą tego problemu. Te państwa znajdą sobie innych pośredników w krajach afrykańskich czy azjatyckich. To nie uchroni europejskiego rynku. Już nieraz spotkaliśmy się z takimi metodami, że produkty były „wypychane" przez inne „państwa słupy".

– Podobnie jest z przewozem ropy, czym zajmuje się tzw. flota cieni. Putin wykorzystuje statki pływające pod banderami innych państw, by obchodzić międzynarodowe sankcje nałożone na rosyjską ropę. Taki scenariusz jest możliwy w przypadku nawozów azotowych?

– Oczywiście, dokładnie tak. To samo dotyczy gazu, ten mechanizm będzie powielany również w przypadku rosyjskich i białoruskich nawozów. Te produkty tak czy siak znajdą inną drogę do Polski.

– Jakie działania mogłyby zatem najefektywniej ochronić nasze zakłady azotowe przed importem nawozów ze Wschodu? Może wpisanie rosyjskich i białoruskim firm z tej branży na europejską listę sankcyjną?

– Jak najbardziej tak. Trzeba zapobiegać temu, żeby rosyjskie i białoruskie nawozy nie znajdowały alternatywnej drogi na europejski rynek. Niestety, to może długo potrwać, bo Unia Europejska nie jest za bardzo mobilna.

– A czy Europa jest w stanie obejść się bez importu nawozów? Na ile jesteśmy samowystarczalni jako kraj i jako Stary Kontynent?

– Moim zdaniem Polska może być krajem samowystarczalnym w stu procentach, jeśli chodzi o produkcję nawozów – przy dobrze działającej Grupie Azoty i rozwiniętych mocach produkcyjnych w zakładach w Puławach, Policach, Kędzierzynie-Koźlu, Tarnowie, Grzybowie. Myślę, że jest to jak najbardziej realne.

GRUPA AZOTY NIE JEST ZWYKŁYM PRZEDSIĘBIORSTWEM RYNKOWYM. TO STRATEGICZNA FIRMA Z PUNKTU WIDZENIA BEZPIECZEŃSTWA ŻYWNOŚCIOWEGO PAŃSTWA.

– Unijna polityka klimatyczna zmierza do tego, żeby gaz jako paliwo kopalne został w przyszłości zastąpiony przez inne nieemisyjne źródło energii. Jak wpłynie to na produkcję nawozów? Czy jest możliwe produkowanie nawozów bez gazu ziemnego?

– To jest kolejna kwestia, w której Zielony Ład, a szczególnie system ETS i opłaty za emisję CO_2, doprowadzają ›

eprasa.pl c60911d094

Piotr Łusiewicz podczas protestu „S" przeciw Zielonemu Ładowi; Warszawa, 10 maja 2024 r.

do niekonkurencyjności europejskich gospodarek. W jaki sposób mamy rywalizować ze Stanami Zjednoczonymi czy z państwami azjatyckimi, jeśli ceny gazu będą zabijać nasze przedsiębiorstwa? Nie poradzimy sobie bez gazu ziemnego, bo na gazie oparty jest cały przemysł: papier, farmacja, ceramika, chemia... Ta polityka klimatyczna jest chora. Przecież jeszcze niedawno gaz był kopaliną akceptowaną przez Unię Europejską, a ludzi zachęcano do wymiany kopciuchów na piece gazowe. Teraz to się zmieniło i ludzie ogrzewający się gazem będą musieli płacić dodatkowy podatek. Po węglu zostanie zabity gaz, który daje nam duże możliwości. Przypominam, że jako Polska rozbudowaliśmy naszą infrastrukturę gazową, zbudowaliśmy terminal LNG w Świnoujściu czy gazociąg Baltic Pipe. Rezygnowanie z tego jest niemądre i szkodliwe.

– Jak duży wzrost cen żywności moglibyśmy zaobserwować na sklepowych półkach, gdybyśmy nie posiadali polskiego producenta nawozów?

– Nie jesteśmy w stanie tego precyzyjnie oszacować, ale warto spojrzeć na przykład Irlandii. Ten kraj posiadał kiedyś własnych producentów nawozów. Gdy ich stracił, ceny nawozów wzrosły dziesięciokrotnie. Nie należy tego przeliczać bezpośrednio na ceny żywności, ale ten wzrost byłby na pewno bardzo odczuwalny. Jeśli zagraniczni producenci nawozów nie będą mieli konkurencji, to będą mogli narzucić nam dowolne ceny.

– Polski czempion chemiczny ma ogromne problemy finansowe. Zadłużenie na poziomie 11,5 mld zł jest możliwe do spłacenia bez pomocy państwa?

– Nie jest to możliwe. Z naszych wyliczeń wynika, że pracownicy Grupy Azoty musieliby pracować za darmo przez 60 lat, aby spłacić to zadłużenie. To trzeba wyraźnie powiedzieć, że Grupa Azoty nie jest zwykłym przedsiębiorstwem rynkowym. To strategiczna firma z punktu widzenia bezpieczeństwa żywno-

eprasa.pl c60911d094

Fot. arch. „S"

ściowego państwa. Nasze rolnictwo powinno rozwijać się w oparciu o krajowe nawozy. W dobie pandemii COVID-19 i wojny na Ukrainie przekonaliśmy się na własnej skórze, jakie są skutki przerwania łańcuchów dostaw – niektóre zakłady wręcz stawały, bo nie miały podzespołów potrzebnych do produkcji. Azoty są również strategiczne dla państwa polskiego, bo w przypadku konfliktu zbrojnego mogą przestawić się na wytwarzanie materiałów wybuchowych.

– W krytycznej sytuacji znajduje się szczególnie grzybowski Siarkopol, w którym trwają zwolnienia grupowe – firma chce rozstać się ze 196 pracownikami. Wcześniej z pracą pożegnało się 160 osób, co łącznie daje redukcję etatów na poziomie 40 procent w ciągu zaledwie półtora roku. Ze stanowiska zrezygnował niedawno sam prezes.

– Nie wiem, jaka jest strategia rządu wobec Grupy Azoty, ale nie wygląda to za dobrze. Moim zdaniem to może być przygotowanie pod prywatyzację. Potem okaże się, że w prywatnych rękach zakłady azotowe są rentowne i przynoszą zyski. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Trudno mi zrozumieć, jak można zabijać firmę, która przynosi państwu tyle korzyści i takie dochody budżetowe. To się nie mieści w głowie. Tym bardziej że gdy obecne złoże siarki po przeszło 30 latach jest na wyczerpaniu, brak kontynuacji działań uruchomienia nowego złoża w Rudnikach i brak ujęcia go w Wieloletnim Planie Inwestycyjnym Grupy Azoty doprowadzi ostatnią kopalnię na świecie produkującą siarkę metodą podziemnego wytopu na skalę przemysłową do upadłości.

– A jak wygląda sytuacja w innych zakładach: w Puławach, Policach czy Kędzierzynie-Koźlu?

– W pozostałych zakładach Grupy Azoty nie ma zwolnień grupowych, ale etatów ubywa. Stopniowo wypycha się ludzi z firmy, mniej więcej po kilkudziesięciu pracowników na miesiąc. Niektórzy sami z niej odchodzą. Na przykład wysoko wykwalifikowanym specjalistom proponuje się pracę na pakowni. Oczywiście żadna praca nie hańbi, ale to nie są ich kompetencje. Wielu pracowników ma już dosyć i rezygnuje z pracy. Pozbywamy się w ten sposób wysoko wykwalifikowanej kadry, która – mówiąc kolokwialnie – zna się na robocie.

– Jakich działań oczekuje Solidarność od rządu? Co powinien zrobić premier i jego ministrowie, by uratować Azoty?

– Myślę, że przede wszystkim powinien powstać zdrowy program restrukturyzacyjny i rozwojowy dla Grupy Azoty – taki, który nie będzie odbywał się wyłącznie kosztem pracowników. Rząd mógłby również w szerokim zakresie zaangażować Grupę Azoty przy produkcji dla sektora zbrojeniowego. Państwo musi też dofinansować Azoty, żeby uwolnić koncern od gigantycznego zadłużenia, o którym wcześniej wspominaliśmy. To będzie wiązać się z koniecznością wystąpienia do Komisji Europejskiej o zgodę na pomoc publiczną. Musimy ratować polskie Azoty, bo jest to przedsiębiorstwo strategiczne nie tylko dla Polski, ale dla całej Unii Europejskiej.

W PRZYPADKU KONFLIKTU ZBROJNEGO POLSKIE AZOTY MOGĄ PRZESTAWIĆ SIĘ NA WYTWARZANIE MATERIAŁÓW WYBUCHOWYCH.

Piotr Łusiewicz – przewodniczący Krajowej Rady Sekretariatu Przemysłu Chemicznego NSZZ „Solidarność", przewodniczący KZ NSZZ „Solidarność" w Spółce Operator Gazociągów Przesyłowych GAZ-SYSTEM S.A., wiceprzewodniczący NSZZ „Solidarność" Krajowej Sekcji Górnictwa Naftowego i Gazownictwa.

eprasa.pl c60911d094

Panie premierze, rzuć pan te ziemniaki!

Polska, z góry odrzucając możliwość wysłania swoich wojsk na Ukrainę, robi ogromny błąd. A nie jest to **wygórowana cena** za obronę naszego bezpieczeństwa.

Maria Niebowska

Prezydent USA pokazał w minionych dniach, że ma do bezpieczeństwa Europy stosunek transakcyjny. Powstaje pytanie, czy także taki transakcyjny będzie stosunek Trumpa do bezpieczeństwa Polski. Czy też wykręcimy się zwykłymi zakupami broni, czy trzeba będzie oddać jakieś „rodowe srebra" w ręce amerykańskich koncernów.

Można to uznać za czarnowidztwo, ale może lepiej jednak rozważyć czarne scenariusze, na które polska klasa polityczna raczej nie jest gotowa.

Symbolem tego stało się chyba zdjęcie premiera 40-milionowego kraju, który wyszedł do narodu ze zdjęciem przy obieraniu ziemnia-

Fot. Marek Antoni Iwańczuk / Zuma Press / Forum

ków. Zajęcie, skądinąd pożyteczne, pokazujące, jak bardzo „ludowy" jest nasz Donald Tusk. Demokracja to PR, ale taki PR nie bardzo pasuje do dziejowego momentu.

Potem doszło do spotkania w Paryżu zorganizowanego przez kilka europejskich państw w reakcji na miażdżące przemówienie wiceprezydenta J.D. Vance'a, który niedwuznacznie stwierdził, że Europa (przede wszystkim kraje starej UE) i USA mają tak odmienne wartości, że jest z nimi Ameryce nie po drodze. Ten symboliczny koniec pax Americana może być końcem snów o stabilnym rozwoju europejskich społeczeństw schowanych pod parasolem USA.

Polski premier wziął udział w spotkaniu, w którym strony nie mogły dogadać się nawet co do komunikatu. Co gorsza, Tusk a priori odrzucił możliwość wysyłki polskich żołnierzy na Ukrainę w ramach misji rozjemczej. Wiadomo, idą wybory i poruszanie tak trudnych tematów uznał za strzał w stopę dla kandydata swojej formacji.

Jeszcze ciekawszy był fakt, że główna opozycyjna siła, która jeszcze niedawno toczyła z premierem dramatyczne boje wokół ceny kostki masła, przychyliła się do jego stanowiska. Choćby ustami byłego ministra obrony narodowej Mariusza Błaszczaka, który stwierdził, że nie można narażać polskiego żołnierza na „prowokacje". Tak, PROWOKACJE, jakich mógłby doświadczyć na Ukrainie. No, skoro polski żołnierz jest tak kruchy, że trzeba go przed nimi chronić, to może w ogóle zrezygnować z armii? Potwierdził je potem prezes Jarosław Kaczyński, mówiąc o „nastrojach społecznych" niesprzyjających wysyłce wojsk.

Trudno wymagać od zwykłego obywatela, by miał pojęcie o historii, jednak od liderów największych partii można by już tego oczekiwać.

Jak to się stało, że o zamiarze wysłania wojsk poinformowały takie kraje jak Szwecja i Wielka Brytania, które skądinąd z Rosją nie graniczą? A Polska, będąca żywo zainteresowana zatrzymaniem Rosji, wykluczyła taką możliwość.

Może posiadanie od wieków suwerennego państwa sprzyja po prostu strategicznemu myśleniu. W końcu Wielka Brytania w czasie dwóch światowych wojen nie wahała się wysłać na pomoc Francji wielosettysięcznych korpusów ekspedycyjnych, zdając sobie sprawę, że hegemonia Niemiec oznacza w najlepszym wypadku upadek imperium, a w najgorszym niemiecką inwazję. Nawet neutralni Szwedzi, gdy ZSRR napadł na Finlandię w 1939 r., wysłali jej na pomoc 8-tysięczny korpus ochotniczy. Właśnie po to, by bronić swojego prawa do neutralności i nie musieć graniczyć z Rosją.

Polska z góry odrzuca taką możliwość. Wiadomo, nikt nie chce, żeby „polscy chłopcy" ginęli na Ukrainie. Ale jeżeli mieliby bronić bezpieczeństwa Polski, niech robią to, nie na Podlasiu czy pod Warszawą, ale pod Charkowem. Mamy w końcu zawodową armię i każdy do niej wstępujący świadomie podejmuje ryzyko, że w obronie interesów swojej ojczyzny może oddać życie.

Nie mówiąc o tym, że będący w niej żołnierze i oficerowie mogliby tam przejść prawdziwą wojenną szkołę, której nie doświadczą na poligonach. Nauczyliby się żyć w ziemiankach, używać map, unikać min, zestrzeliwać drony itp., itd. A po powrocie przekazać te doświadczenia towarzyszom broni.

Tu nasz tak rozdyskutowany naród nie miał szans na usłyszenie racjonalnej dyskusji na ten temat. A sprawa jest prosta, jeżeli chcemy zachować suwerenność, musimy być gotowi na podejmowanie trudnych decyzji. Jak widać, w tej części Europy wolność nie jest sprawą darmową ani ciepłą wodą w kranie. Brak dyskusji na ten temat to namacalny dowód, że Polacy stracili coś, co nazwałabym suwerennością własnej narodowej świadomości.

TUSK A PRIORI ODRZUCIŁ MOŻLIWOŚĆ WYSYŁKI POLSKICH ŻOŁNIERZY NA UKRAINĘ W RAMACH MISJI ROZJEMCZEJ. WIADOMO, IDĄ WYBORY.

Nie wzięło się to znikąd. Polska opinia publiczna została dosłownie urobiona za pomocą potężnej machiny propagandowej, na którą Kreml wydaje rocznie miliardy dolarów. Zupełnie „przypadkowo" bolesny temat Wołynia zaistniał w polskiej debacie publicznej akurat po 2014 r. Wtedy, gdy Rosja po raz pierwszy najechała na Ukrainę. Temat może i ważny, ale nie kluczowy dla obecnego bezpieczeństwa kraju. Od tego czasu w Polsce pojawiła się cała armia hejterów

eprasa.pl c60911d094

Ukrainy złożona głównie z pożytecznych idiotów Kremla nadmuchiwanych przez rosyjskie trolle.

Wystarczy spojrzeć na sieci społecznościowe, każdy ich post wymierzony w Ukraińców i Ukrainę podbijany jest przez setki anonimowych kont powtarzających w kółko te same, tłuczone od jednej sztancy komentarze. Naturalnie taka masa krytyczna znalazła też swoją polityczną reprezentację w postaci Konfederacji i środowiska skupionego wokół Grzegorza Brauna.

Oprócz zaciekłego atakowania napadniętego kraju stosują oni „pacyfistyczne argumenty" wyciągnięte żywcem ze słownika otumanionej zachodniej lewicy, która w latach 60.–80. ubiegłego wieku przekonywała, że lepiej być „czerwonym" (w domyśle pod sowieckim butem) niż martwym. Kremlowscy macherzy zdają sobie sprawę, że zwykły obywatel dziennie przyjmuje kilka medialnych treści. I wystarczy mu je podsunąć i kuć jego duszę, póki gorąca. Kreml, okazuje się, nie potrzebował w Polsce wynajmowania płatnych agentów, bo na miejscu znalazł całe zastępy kolaborantów.

Nie zapominajmy też o liberalno--lewicowych odlotach. O Dziesiątkach lat tresury młodych obywateli przez „postępowe" media, które wyśmiewały „martyrologie", przyklaskiwały transparentom z wizerunkami pobrudzonych podpasek i hasłami, że „tylko taką krew" można za Polskę przelewać. Szczyt tego wariactwa widzieliśmy w przededniu napaści Rosji na Ukrainę. Stanowcza obrona granic przed hybrydowym „imigracyjnym" atakiem z Białorusi w wykonaniu poprzedniego rządu była okazją do wezwań do głoszenia tak idiotycznych w swoim idealizmie, jakbyśmy żyli w krainie tęczowych jednorożców. W odpowiedzi na łukaszenkowsko-kremlowski atak, będący przygotowaniem do właściwej wojny, wzywano do zlikwidowania granic i wpuszczania wszystkich, jak leci. Słowem, robienia tego, na co liczył Kreml, którego niezwykle cieszyły wybuchła przy okazji histeria i rozdmuchanie społecznych konfliktów.

By zwyciężyć bez walki, wystarczy osłabić morale przeciwnika. To banalna prawda, którą na Kremlu stosowano przez cały czas zimnej wojny. I jak widać, przyniosła efekty. Paradoksalnie wobec kraju, który powinien mieć najlepszą historyczną pamięć na temat tego, czym jest rosyjski imperializm.

Jego natura jest bardzo prosta. Stwierdził to w 1946 r. w swoim słynnym „długim telegramie" amerykański dyplomata pracujący w Moskwie, George Kennan. W swoim obszernym memorandum, określającym sposoby powstrzymywania Sowietów w rozpoczynającej się zimnej wojnie, stwierdził prostą, ale uniwersalną rzecz. Rosja jest wyjątkowo odporna na argumenty i nieodporna na siłę. Twardą siłę militarną. A obecne władze i opozycja w swojej krótkowzroczności tego argumentu się pozbawiają.

Fakt, że nawet nie dyskutujemy, nie bierzemy pod uwagę wysłania wojsk na Ukrainę, świadczy, że nie bierzemy pod uwagę realnej obrony naszej suwerenności, nie mówiąc o zwykłych interesach polityczno-gospodarczych. I to akurat wtedy, gdy możemy zapłacić za to stosunkowo niewielką cenę. Panie premierze, rzuć pan te ziemniaki!

ROSJA JEST WYJĄTKOWO ODPORNA NA ARGUMENTY I NIEODPORNA NA SIŁĘ. TWARDĄ SIŁĘ MILITARNĄ. A OBECNE WŁADZE I OPOZYCJA W SWOJEJ KRÓTKOWZROCZNOŚCI TEGO ARGUMENTU SIĘ POZBAWIAJĄ.

FAKT, ŻE NAWET NIE DYSKUTUJEMY O WYSŁANIU WOJSK NA UKRAINĘ, ŚWIADCZY, ŻE NIE BIERZEMY POD UWAGĘ REALNEJ OBRONY NASZEJ SUWERENNOŚCI.

eprasa.pl c60911d094

KARUZELA BLOGERAMI

JAKUB ZGIERSKI („MŁOT NA MARKSIZM")

NORWESKI EKSPERYMENT NA DZIECIACH

W OSTATNIM CZASIE CZYTAŁEM CO NIECO o Norwegii, przygotowując się do wywiadów z Anną Targońską – Polką, która spędziła tam kilka lat i osobiście doświadczyła, jak funkcjonuje norweska edukacja seksualna.

Choć jej historia miała szczęśliwe zakończenie – wróciła do Polski, a jej dzieci nie są już narażone na zgubny wpływ systemu demoralizacji – to jednak wszystko wskazuje na to, że nasze społeczeństwo jest przygotowywane na podobny scenariusz. Z tego powodu moja rozmówczyni zaangażowała się w działalność Koalicji dla Życia i Rodziny, by ostrzegać ludzi przed nadchodzącymi zmianami. Co najbardziej szokujące, edukacja seksualna stała się obowiązkowym elementem norweskiego programu nauczania już w 1970 roku! Od tamtej pory była systematycznie rozwijana i dostosowywana do nowych realiów społecznych. Innymi słowy, rewolucyjna machina nieustannie posuwała się naprzód.

Taką kontrowersyjną decyzję podjął ówczesny minister edukacji Bjarne Skaardal z Chrześcijańskiej Partii Ludowej, sprawujący urząd w koalicyjnym rządzie premiera Per Bortena z Partii Centrum. Oznacza to, że formalnie edukacja seksualna została wprowadzona za rządów centroprawicowej koalicji (prawdopodobnie już wtedy zblatowanej), choć pomysł i przygotowania mogły rozpocząć się wcześniej, jeszcze za rządów Partii Pracy (1955–1965). Początkowo przedmiot koncentrował się głównie na biologii rozrodu oraz podstawowych informacjach o dojrzewaniu i antykoncepcji. Program był raczej „zachowawczy" – jeśli można to tak określić – bo ograniczał się do kwestii fizjologicznych, pomijając głębsze zagadnienia dotyczące relacji międzyludzkich czy tożsamości seksualnej.

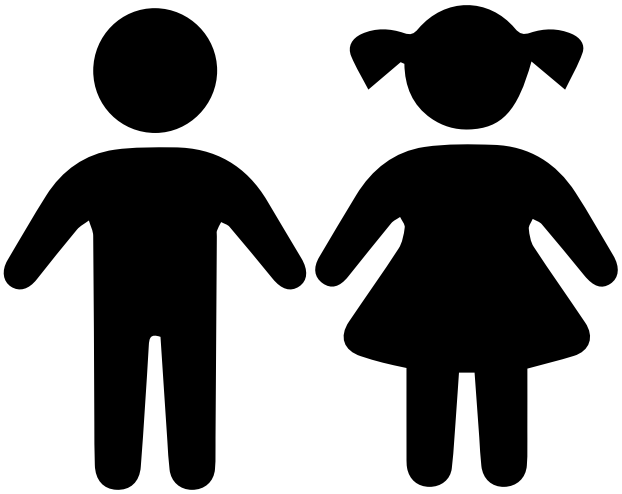

W 1971 roku władzę ponownie objęła Partia Pracy, która do dziś odgrywa istotną rolę w norweskiej polityce. Wystarczy wspomnieć, że od 2021 roku premierem kraju jest socjaldemokrata Jonas Gahr Støre. Wraz z wybuchem epidemii HIV/AIDS w latach 80. edukacja seksualna zaczęła coraz bardziej akcentować profilaktykę chorób przenoszonych drogą płciową – większy nacisk kładziono na świadome stosowanie antykoncepcji i bezpieczne współżycie. W latach 90. przedmiot rozszerzono nie tylko o aspekty biologiczne, ale także o kwestie równości płci i praw człowieka. W 1993 roku Norwegia, jako jedno z pierwszych państw na świecie, zalegalizowała związki partnerskie osób tej samej płci, co wpłynęło na uwzględnienie tematyki LGBT w programach nauczania. Wprowadzono również treści dotyczące przemocy seksualnej oraz kwestii świadomej zgody.

Na początku XXI wieku edukacja seksualna obejmowała już zagadnienia związane z różnorodnością płciową i orientacją seksualną, promując tzw. inkluzywne podejście do nauczania. W 2009 roku rządzący zalegalizowali małżeństwa jednopłciowe, uchylając w ten sposób furtkę do adopcji dzieci. Natomiast w 2016 roku zniesiono wymóg operacji zmiany płci dla osób transpłciowych, umożliwiając im „korektę płci" w dokumentach. Jak widać, norweski przykład pokazuje, w jakim kierunku zmierza tzw. postęp, który w ostatecznym rozrachunku nie przewiduje żadnych kompromisów.

eprasa.pl c60911d094

Sondażem w Nawrockiego

Mniej więcej w czasie ogłoszenia przez Karola Nawrockiego i NSZZ „Solidarność” współpracy programowej, a więc i poparcia przez najważniejszy polski związek zawodowy kandydata obywatelskiego, zaczęły się dziać **bardzo dziwne rzeczy**.

Krzysztof Karnkowski

Jeszcze przed spotkaniem Karola Nawrockiego i „S” część konserwatywnych mediów powtórzyła bezrefleksyjnie informacje „Newsweeka”. Wynikało z nich, że politycy PiS dysponują badaniami, z których wynika, że przyczyną niższego sondażowego poparcia kandydata niż wspierającej go partii jest fakt niekojarzenia go z nią przez sporą część elektoratu. Co więcej, efektem tej niewiedzy miałoby być rozproszenie głosów, które przepływać miałyby na przykład do Marka Jakubiaka. Co więcej, posła Wolnych Republikanów, wywodzącego się z ruchu Kukiz’15, popierać miałaby nawet część działaczy i struktur lokalnych.

Nieznany kandydat?

Powiedzmy jednak uczciwie, że sam fakt uzbierania niewielkiej części głosów przez Marka Jakubiaka byłby dla PiS niewielkim problemem, dopóki Karol Nawrocki miałby pewnie miejsce w drugiej turze. Jednak nawet to zostało zakwestionowane przez chór życzliwych interpretatorów polityki, gdy dwa tygodnie temu pojawił się sondaż Opinii 24 wskazujący na bardzo dobry wynik Sławomira Mentzena. Tym wątkiem zajmiemy się jednak za chwilę, na razie zatrzymajmy się w Gdańsku. Same sondaże wskazujące na brak skojarzenia Karola Nawrockiego z PiS budzą spore wątpliwości. Dlaczego? Spójrzmy na badanie poziomu zaufania do polityków, które w styczniu IBRIS przeprowadził dla Onetu. Według tego sondażu jedynie 5,4% respondentów stwierdziło, że nie zna Karola Nawrockiego, co wskazuje na rozpoznawalność wyższą niż u tak mocnych graczy, jak Włodzimierz Czarzasty, Sławomir Mentzen czy Grzegorz Braun (do nieznajomości każdego z nich przyznać się miało po 9% badanych!), a jeszcze gorzej wypadli oboje liczący się kandydaci lewicy: Magdalena Biejat i Adrian Zandberg. A skoro tak, to trudno uznać, że znający Nawrockiego nie mają pojęcia o jego politycznych afiliacjach, tym bardziej że uzyskane przez niego poziomy zaufania i nieufności korespondują z wynikami Mateusza Morawieckiego czy Jarosława Kaczyńskiego, choć są dla szefa IPN korzystniejsze. Inną sprawą jest jednak wiele głosów osób PiS

SONDAŻE WSKAZUJĄCE NA BRAK SKOJARZENIA KAROLA NAWROCKIEGO Z PiS BUDZĄ SPORE WĄTPLIWOŚCI.

Fot. R. Wąsik

Ogłoszenie przez Karola Nawrockiego i NSZZ „Solidarność” współpracy programowej; Sala BHP Stoczni Gdańskiej, 13 lutego br.

eprasa.pl c60911d094

i samemu kandydatowi życzliwych, zauważających, że jego kampania w pewnym sensie stanęła w miejscu, bardzo zresztą miłym dla niego samego i jego zwolenników, pełnym emocjonalnych spotkań z wyborcami, jednak wołającym o dodanie do kampanii nowych wątków i nowych wymiarów. Porozumienie z „S" stało się szansą na podkreślenie kolejnych istotnych punktów programu kandydata, takich jak walka z Zielonym Ładem (zapowiedź referendum obywatelskiego), potrzeba ochrony rolnictwa, przemysłu i miejsc pracy, wreszcie obrony korzystnych dla pracowników i innych grup społecznych zmian wprowadzonych w czasie rządów PiS. Jest to więc perspektywa na nowy oddech jeszcze przed zapowiadaną na marzec konwencją programową. Głosy Solidarności i szerzej wszystkich pracowników zdających sobie sprawę, do czego prowadziłoby dalsze wzmocnienie antypracowniczej, liberalnej władzy poprzez obsadzenie jej w kolejnym ośrodku, mogłyby przeważyć losy drugiej tury. Tym bardziej że z czołowej trójki kandydatów tylko Nawrocki gwarantuje kompleksowe spojrzenie na kwestie pracownicze. Zważywszy na profil gospodarczy Konfederacji, trudno spodziewać się, by Sławomir Mentzen blokował przepisy gospodarcze w duchu turboliberalizmu lat 90. Nadzieję można tu mieć w kwestii Zielonego Ładu, ale to przecież tylko część problemu. Zamiast jednak szukać ewentualnych pozytywów prezydentury Mentzena, wygrajmy ją dla kandydata popieranego przez Solidarność.

Oddech na plecach

I właśnie Sławomir Mentzen pojawia się w kolejnej części tej operacji. Zapewne bez własnego udziału, ale chętnie (i trudno się temu dziwić) czerpie z niej paliwo. Konfederacja w sondażach dobrze wypada od dość dawna, ostatnio widzimy natomiast spory wzrost poparcia jej kandydata na prezydenta. We wtorek, 25 lutego, pojawił się sondaż IBRIS dla „Wydarzeń" Polsatu, w którym Rafał Trzaskowski zdobywa 35,2% głosów, Karol Nawrocki 26,5%, a Sławomir Mentzen 15,7%. Z pierwszej trójki jedynie Nawrocki w tym badaniu lekko stracił, największy wzrost odnotował lider Konfederacji. Jest to już drugi taki sondaż, ponieważ tydzień wcześniej opublikowano badanie kojarzonej z Platformą pracowni Opinia 24, w którym trzej czołowi kandydaci uzyskali kolejno 30,9% (Trzaskowski), 21,7% (Nawrocki) i 16,8% (Mentzen) głosów. I właśnie to badanie stało się przyczynkiem do uruchomienia całej fali medialnych rozważań, czy PiS powinno dokonać wymiany kandydata, co z perspektywy kalendarza wyborczego jest jeszcze możliwe. Powoływano się na znane już argumenty, a w dyskusjach internetowych uaktywnili się oczywiście komentatorzy, którzy wcześniej liczyli na wystawienie kogoś z kluczowych działaczy partyjnych – lub osoby za takich rozczarowanych się jedynie podające. Głos zabrało też kilkoro dziennikarzy, a w tekstach pojawiło się nawet wyjątkowo bolesne porównanie Karola Nawrockiego do Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, poczynione chyba jednak mocno na wyrost przez piszącego również dla „Tygodnika Solidarność" Igora Zalewskiego. Wśród prób wyjaśnień pojawiło się też jedno,

eprasa.pl c60911d094

najbardziej chyba racjonalne – finansowe. PiS, wskutek bezprawnych działań wspieranego przez Donalda Tuska ministra finansów, pozbawione zostało olbrzymiej części środków finansowych, nie ma więc pieniędzy na pełnowymiarową kampanię, czyli – promowanie kandydata. Gdyby jednak, co niektórzy zdają się sugerować, doszło teraz do jego zmiany, okazałoby się, że nawet te skromniejsze środki, które wydano dotąd na promowanie Karola Nawrockiego, zostały zmarnowane. Publicysta Wiktor Świetlik twierdzi z kolei, że celem tej operacji może być sprowokowanie Nawrockiego do ataków werbalnych na Mentzena, które utrudniłyby zdobycie głosów jego sympatyków w drugiej turze.

Sondaż doda ci skrzydeł

Dla równowagi wśród sympatyków Karola Nawrockiego pojawiły się tezy, że to sondażowe wzmacnianie Sławomira Mentzena służyć może wykreowaniu kolejnego wentyla bezpieczeństwa w naszej polityce. Konfederacja, wychylona w stronę liberalną, miałaby stać się kolejną Nowoczesną czy Polską 2050, której elektorat zresztą w pewnym stopniu faktycznie przejmuje. Nie należy jednak zapominać, że tego typu projekty polityczne mogą przynosić bardzo różne owoce, o czym świadczy przypadek pospolitego ruszenia Pawła Kukiza z 2015 roku. Z którym Konfederacja, również personalnie, miewała i ma do dziś dużo więcej wspólnego niż z partiami Ryszarda Petru i Szymona Hołowni. Co ciekawe, w kampanii parlamentarnej głównym przeciwnikiem Mentzena był właśnie Ryszard Petru, dziś w tej roli zastępuje go Szymon Hołownia i jego poseł Sławomir Ćwik, który wygrał już z Metzenem wyrok wyborczy. Tymczasem nie brak głosów, że sondaże mają po prostu wzmocnić kandydata Konfederacji na tyle, by to on, a nie Karol Nawrocki, znalazł się w drugiej turze, a następnie przegrał z Rafałem Trzaskowskim. Nie byłaby to dobra wiadomość dla pracowników, ale wynik takiego starcia wcale nie jest pewny. Na pewno jednak pierwszy z sondaży dodał skrzydeł uczestnikom konwencji Sławomira Mentzena, która odbyła się 22 lutego w Bełchatowie. Sala skandowała „Druga tura!", a choć mówcy skupiali się na ogół na krytyce Trzaskowskiego, trochę – głównie za brak politycznego doświadczenia – oberwał też Nawrocki.

Z TRZECH CZOŁOWYCH KANDYDATÓW TYLKO NAWROCKI GWARANTUJE KOMPLEKSOWE SPOJRZENIE NA KWESTIE PRACOWNICZE.

WEDŁUG CZĘŚCI KOMENTATORÓW SONDAŻE MAJĄ PO PROSTU WZMOCNIĆ KANDYDATA KONFEDERACJI.

NIK na tropie

Na koniec dodajmy do tej historii jeszcze wątek Mariana Banasia. Banaś, który po cichu de facto uwłaszczył się na NIK niczym szef komunistycznej fabryki w 1989 roku i zmienił Izbę w swój prywatny folwark, zajmujący się ściganiem przeciwników politycznych władzy, od której zależy dziś jego być albo nie być, skierować miał według tygodnika „Do Rzeczy" wszystkie siły na kontrole w kierowanym przez Nawrockiego IPN. Równolegle ten sam Marian Banaś ogłosił zbiórkę podpisów pod swoją kandydaturą w wyborach prezydenckich, a jego współpracownicy na poważnie twierdzą, że ich kandydat ma poparcie Kościoła, części dawnych współpracowników z PiS i wielu znajomych – ludzi dawnej opozycji. Opis interesujący, jednak nakreślający sytuacje tak, jakby wokół Banasia nie wydarzyło się kompletnie nic od czasu, gdy z namaszczenia PiS i przy mocnej krytyce ówczesnej opozycji i TVN został szefem Najwyższej Izby Kontroli. Według jednego z jego zwolenników o start mają do niego apelować „tysiące ludzi". Inny zachwala jego kandydaturę w Onecie słowami: „Ma ogromny dorobek, pokazuje swoją niezależność. [...] Ludziom trzeba pokazać, ile on już zrobił, ile dokonał w NIK, żeby oczyścić Polskę ze złodziejstwa". Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie fakt, że kolejny po marszałku Sejmu szef ważnej instytucji państwa zakłóca de facto proces wyborczy, występując równocześnie jako element nadzoru i kontroli oraz biorąc udział w wyborach. Co więc robić? Stać przy Nawrockim, włączać w jego kampanię Solidarność, budować rozpoznawalność kandydata i... nie słuchać złych doradców.

eprasa.pl c60911d094

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Cezary Krysztopa

Lek na pustkę

Współczesną ludzkość, szczególnie tę na Zachodzie, prześladuje pustka. Wydaje się dosyć logiczne, że jeśli wypiera się z życia wszelkie wartości, a usiłuje się je zapełnić mającym „prawo do wszystkiego" „ja", w końcu człowiek „wypełniony" wyłącznie samym sobą musi poczuć, że coś jest nie tak.

W iluś przypadkach prowadzi to szczęśliwie do refleksji i poszukiwań jakichś obiektywnych punktów odniesienia, ale jednak trudno nie odnieść wrażenia, że zdecydowana większość przedstawicieli tzw. Zachodu pomimo odczuwanej pustki jest na tyle dobrze wytresowana przez media, aktywistów, celebrytów i polityków, że odmawia poszukiwań i trwa w stanie pustki, z jednej strony cierpiąc, a z drugiej wmawiając sobie, że właśnie się „samorealizuje". Niektórym, jako środek przeciwbólowy, wystarczą możliwie dziwaczny seks, podróże czy możliwość wrzucania robiących na innych wrażenie zdjęć na Instagram. A innych znowuż, chyba raczej znacznej, mniej zamożnej, większości, musi wystarczyć przekonanie, że „tak trzeba".

Kulminacją poczucia pustki w ciągu roku są zwykle święta. Głównie Boże Narodzenie i Wielkanoc. Święta chrześcijańskie, ale przez wielu obchodzone tylko w ramach swego rodzaju „pamięci kulturowej". Wielu ludzi czyni wielkie przygotowania do wielkiej uczty. Potem jedzą. A później zostają z napęczniałym żołądkiem, wyrzutami sumienia i pustką w sercu. Zdziwieni, dlaczego dwa razy do roku doświadczają tego samego, choć tak bardzo starają się zapewnić „magię" i „atmosferę".

Inaczej rzecz ma się w przypadku ludzi wierzących. Oni przygotowują nie tylko i nie przede wszystkim potrawy i dekoracje – przede wszystkim przygotowują sami siebie. Przed świętami Wielkiejnocy mają w tym celu do dyspozycji Wielki Post. Dzięki temu, kiedy przyjdzie ten długo oczekiwany moment, jest on wypełniony nie tylko potrawami i dekoracjami, ale przede wszystkim duchową treścią, której człowiek, jako istota mimo wszystko rozumna, potrzebuje. I żeby było jasne, nie piszę o tym z pozycji „autorytetu", tylko niedoskonałego grzesznika, który ma dobre i liczne powody, żeby pościć i się nad sobą zastanawiać.

Grzesznika, który już się cieszy, że dostanie kolejną szansę poprawy. Grzesznika, który dostanie kolejną okazję do tego, żeby wejrzeć w siebie i usiłować zrozumieć, czym jest wypełniony. Grzesznika, który dostanie dobry pretekst, żeby choć na chwilę oderwać się od kolorowych atrakcji współczesnego światowego lunaparku, który w istocie bardziej przypomina lupanar.

Myślę, że jako ludzie wierzący, choć przecież niedoskonali, mamy wielkie szczęście, że mamy w tym świecie kolorowej pustki na czym się oprzeć, że mamy do czego się odnieść i do czego odwołać. I niewątpliwie mamy wielkie szczęście, że jest Wielki Post, który daje nam doskonały pretekst, żeby o tym wszystkim sobie przypomnieć.

eprasa.pl c60911d094

PORTRET NIEOCZYWISTY

Postkorwinista

Ludwik Pęzioł

Jeszcze niedawno **Sławomir Mentzen** kojarzył się z dziabniętym stand-uperem o charyzmie księgowego. Dziś wyrasta na czarnego konia wyborów prezydenckich. Czy to efekt jego nowej strategii, czy raczej kryzysu konkurencji?

W 2023 roku Mentzen był jednym ze słabszych ogniw kampanii Konfederacji. Jego brak powagi przejawiający się w „jajcarskich" postulatach, żenujących dissach na rywali czy słynnych już „stu ustawach Mentzena", które „tajemniczo" zniknęły z sieci – sprawiał wrażenie, że nie do końca rozumie różnicę między światem wirtualnej rozrywki a realną polityką. Krytycy zarzucali mu też, że nie wyciąga wniosków z popełnionych błędów, jako przyczynę wskazując ciągoty autorytarne i miłość własną posuniętą do granicy narcyzmu. Tym bardziej zaskakuje fakt, że dziś jego notowania sondażowe są niemal trzykrotnie wyższe od wyniku Krzysztofa Bosaka w wyborach prezydenckich 2020 roku. A przecież to Bosak uchodził za tego poważniejszego, bardziej kompetentnego i profesjonalnego...

Korwin po tuningu

Janusz Korwin-Mikke traktował politykę bardziej jako platformę do propagowania idei niż narzędzie do zdobywania rzeczywistej władzy (sam określał się mianem ideologa, a nie polityka). To było przyczyną niekończącej się frustracji wielu działaczy, którzy obserwowali, jak ich wysiłki w przekonywaniu opinii publicznej zostają zmarnowane przez kolejną

eprasa.pl c60911d094

kontrowersyjną wypowiedź prezesa obniżającą zaufanie do całego środowiska. Korwin jednak niewiele sobie z tego robił – uparcie twierdził, że bez jego ekscentrycznych wystąpień myśl wolnorynkowa w ogóle nie przebiłaby się do świadomości Polaków. Nic więc dziwnego, że w pewnym momencie narodził się popyt na „Korwina bez szaleństw" – lidera, który dla politycznej skuteczności potrafiłby czasem pójść na kompromis i powstrzymywać się przed wygłaszaniem opinii odstraszających zwykłych wyborców.

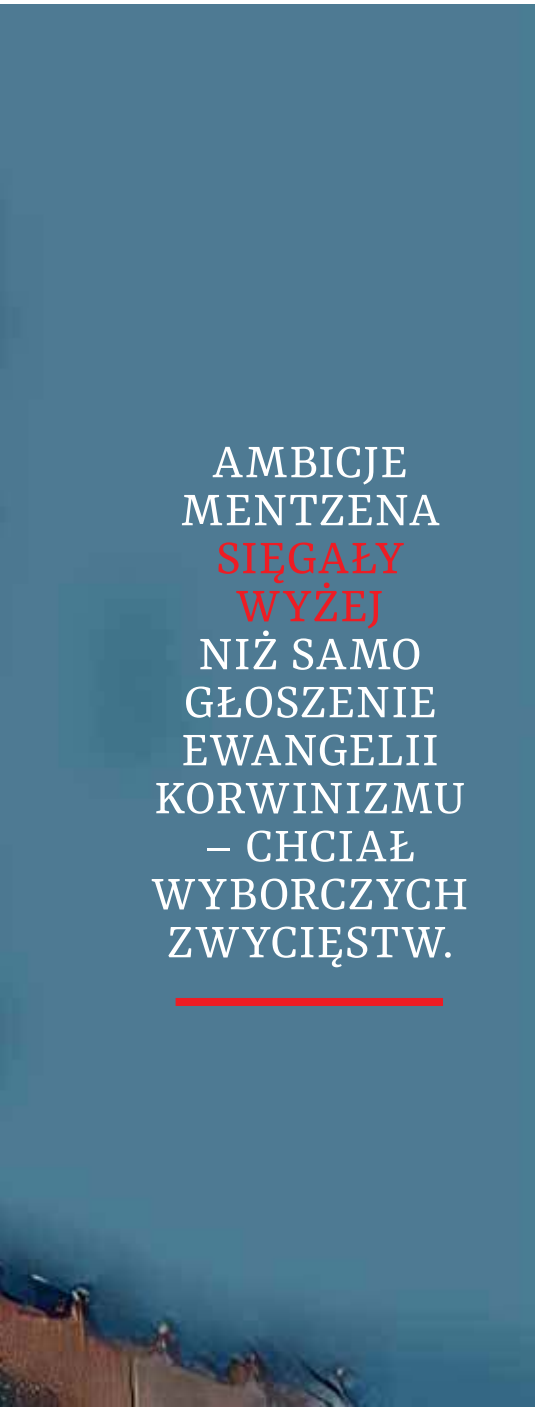

AMBICJE MENTZENA SIĘGAŁY WYŻEJ NIŻ SAMO GŁOSZENIE EWANGELII KORWINIZMU – CHCIAŁ WYBORCZYCH ZWYCIĘSTW.

Proj. K. Karnkowski

Pomimo niezwykłej żywotności Korwin-Mikkego mniej więcej w 2021 roku stało się jasne, że biologia jest nieubłagana i czas wyznaczyć następcę. Największe szanse mieli dwaj kandydaci: Sławomir Mentzen i Konrad Berkowicz. Berkowicz przypominał bardziej golema Korwin-Mikkego niż samodzielnie myślącego polityka – niemal każda jego wypowiedź była kalką wcześniejszej wypowiedzi mistrza. Mentzen, mimo deklarowanego korwinizmu, nie podzielał światopoglądu Korwin-Mikkkego en bloc – choć gospodarczo liberalny, nie szedł w skrajny socjaldarwinizm; choć niechętny interwencjonizmowi, dopuszczał strategiczne inwestycje państwowe; choć „wolnościowy", w jego myśleniu częściej przebijał się pierwiastek klasycznie konserwatywny. Z perspektywy ortodoksyjnego korwinisty mógł wydawać się więc podejrzany – ale przymykano na to oko ze względu na kilka jego atutów. Po pierwsze, otaczał go nimb eksperta – prowadził kancelarię prawną specjalizującą się w optymalizacji podatkowej, co przyniosło mu dużą popularność w kręgach uważających podatki za formę kradzieży, a ich unikanie za akt wyzwolenia spod „państwowego aparatu przemocy". Po drugie, potrafił przyciągać uwagę w mediach społecznościowych – dorobił się nawet miana „króla TikToka". Po trzecie, jako majętny przedsiębiorca stanowił dla liberalnych wyborców ucieleśnienie sukcesu, do którego sami aspirowali. To właśnie te cechy sprawiły, że mimo swoich „wiarołomstw" wobec dogmatów o świętości własności prywatnej zdeklasował nieciekawego Berkowicza w wyścigu o schedę po Korwinie.

Liberalny Lord Vader

Podczas uroczystości przekazania władzy Mentzenowi przez Korwin-Mikkego jego wejściu na scenę towarzyszył „Marsz Imperialny" z „Gwiezdnych Wojen". Można było potraktować ten zabieg jako żart, ale – jak się później okazało – był to żart proroczy. Wraz z nowym liderem przyszły nowe, dla wielu bolesne, porządki w partii. Jedną z ich politycznych ofiar był Artur Dziambor, który po rozstaniu z Konfederacją opisywał czasy nowego wodza jako epokę partyjnej dyktatury i koszarowej dyscypliny, całkowicie zrywającą z wcześniejszą atmosferą koleżeństwa i poczucia „gry w jednej drużynie". Rozmiłowanie Mentzena w nowo zdobytej władzy przybierało niekiedy nieestetyczne formy. Symptomatyczny był wpis na Twitterze, w którym pozwolił swoim sympatykom zdecydować, któremu z byłych członków partii pozwolić na powrót, nawiązując do słynnej biblijnej sceny z Jezusem i Barabaszem („Kogo uwolnić? Dziambora czy Sośnierza?").

Ambicje Mentzena sięgały wyżej niż samo głoszenie ewangelii korwinizmu – chciał wyborczych zwycięstw. Jeden z młodych działaczy KORWiN-u wspominał, że po objęciu władzy przez nowego przywódcę na licznie reprezentowaną w środowiskach konserwatywno-liberalnych „frakcję psychiatryczną" padł blady strach. Mentzen zdawał sobie sprawę, że bez gruntownej „deszuryzacji" Konfederacja nie ma szans na dobre wyniki w wyborach. I miał rację – najlepszym tego dowodem był dramatyczny spadek poparcia w kampanii parlamentarnej 2023 roku, gdy media zaczęły ujawniać poglądy niektórych kandydatów startujących z list partii. Wyznawcy teorii spiskowych o planecie Nibiru, iluminatach, reptilianach, płaskiej Ziemi i pamięci wody skutecznie odstraszali potencjalnych wyborców, co stanowiło

eprasa.pl c60911d094

jasną wskazówkę na przyszłość. Czyszczenie szeregów – usunięcie samego Korwina, jego najwierniejszych akolitów oraz cechujących się sekciartwem braunistów – przyszło jednak za późno. Tym, co okazało się skuteczne, było przesunięcie Nowej Nadziei (postkorwinistycznej części Konfederacji) do centrum. Wieloletnia narracja, według której złagodzenie tonu, rezygnacja z epatowania ostentacyjną „niepoprawnością polityczną" i odejście od socjaldarwinizmu miały pogrzebać partię, okazała się całkowicie błędna.

Mentzenowi udała się jeszcze jedna sztuka – razem z Krzysztofem Bosakiem popchnął konfederackich narodowców w stronę liberalizacji, konsekwentnie osłabiając prawicowe pryncypia partii. Im bardziej marginalizowano elementy nacjonalistyczne i katolickie, tym głośniej atakowano lewicowe „szaleństwa" spod znaku woke – była to skuteczna zasłona dymna, pozwalająca po cichu wycofać się z narodowo-katolickich haseł, które mogłyby odstraszać młodszy elektorat. Podobnie wyglądał stosunek Mentzena do kwestii migracji: w kampaniach polityk uderzał w antyimigracyjne tony, choć wcześniej przez długie lata bronił swobodnego przepływu ludzi i kapitału. Zarówno wyborczy kongres Konfederacji w 2023 roku, jak i ostatnia konwencja prezydencka Mentzena w Bełchatowie były całkowicie zdominowane przez przekaz materialistyczno-wolnorynkowy, konsekwentnie unikający odniesień do katolickiej i narodowej kontrrewolucji. Hasło wieńczące wydarzenie – „Nikt nie będzie nam mówił, jak mamy żyć" – bardziej przypominało owsiakowe „Róbta, co chceta" niż „Jedyna partia ideowej prawicy w Polsce", którym Konfederacja wciąż oficjalnie się posługuje, co dziś brzmi już raczej jak dowcip.

Pęknięcia w portrecie

W politycznej karierze Mentzena nie zawsze jednak pragmatyzm wyborczy brał górę nad ideą. Warto wskazać kilka sytuacji, w których kierował się on wyznawanymi wartościami wbrew własnemu interesowi politycznemu. Pierwszym takim przypadkiem była jego krytyczna reakcja na sugestie części liderów Konfederacji po słynnym wyroku Trybunału Konstytucyjnego, którzy chcieli dążyć do liberalizacji przepisów aborcyjnych i zawarcia w tej sprawie nowego kompromisu. „Nie do takiej partii wstępowałem" – oznajmił wówczas Mentzen, dowodząc, że są wartości, których nie poświęci dla doraźnych politycznych korzyści. Również jego decyzja o uczestnictwie w obronie kościołów przed fizycznymi atakami podczas protestów Strajku Kobiet pokazała, że potrafi kierować się ideowymi przesłankami.

Drugim „pęknięciem" w obrazie wyrachowanego wodza partyjnego był jego jednoznaczny sprzeciw wobec rosyjskiej agresji na Ukrainę. W przeciwieństwie do wielu liderów Konfederacji, którzy mieli z tym problem, Mentzen od samego początku jasno opowiedział się po stronie napadniętych. Nie podążał w ślady Grzegorza Brauna, który cynicznie podsycał antyukraińskie nastroje, ani Krzysztofa Bosaka, który lawirował między noszeniem przypinki w barwach flagi Ukrainy a uczestnictwem w akcji „Stop ukrainizacji Polski". Mentzen w chwili moralnej próby nazwał rzeczy po imieniu – dobro dobrem, a zło złem – pomimo sceptycznego stosunku własnego elektoratu do Ukraińców. Wskazywał też na potencjalne korzyści, jakie może przynieść Polsce ukraiński exodus. Był to dowód na to, że zasady demokratycznej rozgrywki nie zawsze zwyciężały nad deklarowanymi przez niego wartościami.

MENTZEN JAKO MAJĘTNY PRZEDSIĘBIORCA STANOWIŁ DLA LIBERALNYCH WYBORCÓW UCIELEŚNIENIE SUKCESU, DO KTÓREGO SAMI ASPIROWALI.

Powracając do pytania zadanego na początku – Mentzen sprawia wrażenie polityka, który zrozumiał, że w grze politycznej bezkompromisowe głoszenie idei się nie opłaca, a kluczowe są powaga, pokora, wychodzenie naprzeciw oczekiwaniom wyborców oraz systematyczna praca. Dzięki temu udało mu się wykreować na akceptowalnego kandydata sprzeciwu, wyrażającego zniecierpliwienie stanem polskiej polityki. Warto jednak pamiętać, że Mentzen jest przede wszystkim kandydatem biznesu, a jego zwycięstwo oznaczałoby większą władzę pracodawców kosztem pracowników. Umiejętność przykrycia tego faktu nośnymi hasłami pozwala mu wciąż utrzymywać wysokie poparcie. Czy na długo? Dynamika poparcia dla Konfederacji i jej kandydatów w poprzednich wyborach zdaje się temu przeczyć, ale jak na razie – fala jeszcze nie opada.

eprasa.pl c60911d094

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Tomek: – Widzisz, kto tu jest na fotografii?

Basia: – Widzę Ewę Tomaszewską.

– A na pierwszym planie z kwiatami przewodniczący Solidarności na Uniwersytecie Warszawskim Krzysztof Laskowski i obok rektor UW Piotr Węgleński. Składają kwiaty pod tablicą upamiętniającą wydarzenia marcowe. To był 2005 rok. Zobacz, co tam jest napisane na górze tablicy.

– „Nie trzeba kłaniać się okolicznościom/ A Prawdom kazać, by za drzwiami stały". To cytat z Norwida.

– Szkoda, że nie mam zdjęć z samych wydarzeń marcowych. Jeszcze wtedy nie robiłem.

– Ale w samych wydarzeniach brał Pan udział, tyle że na Politechnice Warszawskiej, na której Pan wówczas studiował.

– Tak, zostałem wtedy zatrzymany przed Wydziałem Elektroniki Politechniki Warszawskiej. Skazano mnie na sześć tygodni aresztu, ale zostałem zwolniony po 24 dniach. Zawiesili mnie jednak na studiach i chcieli wziąć do wojska. Wtedy mój dziekan Stanisław Sławiński wystawił zaświadczenie, że jestem studentem. O zawieszeniu nic nie wspomniał.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl c60911d094

Zagranica

„Made in Europe” jest marką, JEST WARTOŚCIĄ

– Jestem świadoma istnienia wielu wyzwań, ale w porównaniu z sytuacją pracowników w USA w Europie udaje się nam wywalczyć o wiele więcej. Jest to możliwe za sprawą naszego modelu społecznego i naszego sposobu prowadzenia biznesu – mówi **Esther Lynch**, przewodnicząca Europejskiej Konfederacji Związków Zawodowych, w rozmowie z **Konradem Wernickim**.

– W Gdańsku spotkała się Pani z przedstawicielami NSZZ „Solidarność” z Piotrem Dudą na czele. Jaki był główny cel i temat tego spotkania?

– Przygotowujemy się do zbliżającego się nieformalnego spotkania ministrów pracy krajów członkowskich UE, które odbędzie się w Polsce. Było dla nas bardzo ważne, abyśmy mieli okazję przedyskutować ten temat odpowiednio wcześniej i przygotować się wspólnie do spotkania.

W porządku obrad wydarzenia znajduje się przerażająca propozycja dotycząca deregulacji wielu praw pracowniczych. Dla osób pracują-

eprasa.pl c60911d094

cych dyrektywy UE często stanowią podstawowy próg zagwarantowania sobie przyzwoitych praw pracowniczych. Bardzo niepokojące jest zatem to, że niektórzy – na szczęście nie wszyscy – pracodawcy, ale duża ich liczba, szczególnie tych pozbawionych jakichkolwiek skrupułów, próbują sugerować, że tym, co powstrzymuje rozwój biznesu, są prawa pracownicze.

– Podczas gdy wszyscy wiemy, że to nie prawa pracownicze są przyczyną obecnego kryzysu, ale raczej wysokie koszty energii i inne wyzwania, przed którymi stoją firmy.

– Tak, rozmawialiśmy o tym ostatnim razem. Z Piotrem Dudą chcieliśmy omówić, w jaki sposób możemy wykorzystać siłę związków zawodowych w Polsce, aby mieć wpływ na agendę dla wszystkich pracowników w całej Europie. Chcemy wykorzystać do tego siłę Solidarności, oprzeć się na Was.

Fot. Piotr Machnica

– W Polsce układy zbiorowe pracy są w złym stanie. Czy dyrektywa o adekwatnym wynagrodzeniu minimalnym w UE, która promuje rokowania zbiorowe, pomoże Polsce i polskim pracownikom? A może nie jest to możliwe w naszej kulturze pracy?

– Myślę, że wyzwaniem dla pracowników jest wywalczenie możliwości dołączenia do związku zawodowego bez obaw o represje. A kiedy już dołączą oni do związku, upewnienie się, że pracodawca słucha związków zawodowych, słucha ich żądań dotyczących uczciwych godzin i warunków pracy oraz uczciwej zapłaty za jej wykonanie oraz wszystkich innych spraw, którymi pracownicy będą zainteresowani, takich jak urlop, awans na podstawie zasług, możliwość sprawiedliwego wynagradzania i uznawania nadgodzin, brak konieczności pracy po godzinach etc. Wszystkie te rzeczy są ogromnie ważne dla pracowników i stanowią podstawę dobrego dnia w pracy. Wszystko to można osiągnąć skutecznie tylko dzięki sile, jaką dają układy zbiorowe pracy. Dlatego właśnie dyrektywa o płacy minimalnej była dla nas tak ważna. Nie tylko dlatego, że mówi ona, że płace minimalne muszą być adekwatne do rzeczywistych kosztów ponoszonych w związku z wykonywaniem pracy – takich jak mieszkanie, żywność, transport etc. Pracowałam za płacę minimalną i wiem, że pójście do pracy kosztuje i że jest ono jednym z największych wyzwań dla osób otrzymujących minimalne wynagrodzenie. Samo dotarcie do pracy kosztuje – płaci się za paliwo czy za bilet miesięczny. Bardzo ważne jest zatem

eprasa.pl c60911d094

zagwarantowanie odpowiedniej płacy minimalnej oraz promowanie i wspieranie jej przez UE – zamiast jej niszczenia i podkopywania, jak podczas ostatniego kryzysu finansowego. Ale tak naprawdę najważniejsze są przepisy dotyczące promowania układów zbiorowych. One muszą być realne. Związki zawodowe powinny mieć dostęp do miejsc pracy, aby spotykać się z pracownikami w celu omawiania układów zbiorowych. Wszystko to sprawi, że układy zbiorowe będą mogły stać się rzeczywistością i powstrzymać proces niszczenia związków zawodowych, który zaczęliśmy obserwować w całej Europie. Dyrektywa o płacy minimalnej jest bardzo ważna także dlatego, że mówi ona państwom członkowskim, iż nie można pozwolić na dalsze niszczenie związków zawodowych, ale zamiast tego należy przyjąć postawę prokolektywistyczną.

Trzeba także opracować plan, który pomoże związkom zawodowym i pracodawcom zapewnić możliwość objęcia 80% pracowników układami zbiorowymi pracy. Pracodawcy będą zobowiązani do składania sprawozdań na ten temat. Nie zrezygnowaliśmy z tej dyrektywy.

– Jednak ta dyrektywa napotyka opór ze strony niektórych państw, została zaskarżona do TSUE przez Szwecję i Danię.

– OK, toczy się przeciwko niej postępowanie. Ale bardzo często zdarza się, że sąd nie stosuje się do opinii rzecznika generalnego. A nasza analiza opinii rzecznika generalnego jest taka, że pominął on wiele bardzo ważnych argumentów prawnych.

Zostały one już przeanalizowane przez Komisję Europejską w trakcie prac legislacyjnych w Parlamencie Europejskim i wszystkie inne skomplikowane drogi, które europejskie prawodawstwo musi przebyć, jeśli chodzi o ochronę pracowników. Wiele innych aktów prawnych powstaje znacznie szybciej. Z kolei jeśli chodzi o ochronę ludzi pracy, za każdym razem musimy udowodnić, że jest to potrzebne z prawnego punktu widzenia i że jest to prawnie możliwe.

Udowodniliśmy to wszystko w trakcie prac nad ustawą. Jestem więc przekonana, że gdy sąd będzie miał okazję przyjrzeć się wszystkim tym kwestiom prawnym, prawdziwa interpretacja traktatu będzie na korzyść naszej dyrektywy.

Kluczowym przesłaniem dla osób pracujących jest apel o prowadzenie rozmów ze współpracownikami. Mój apel brzmi: rozmawiaj z kolegami z pracy, zjednoczcie się, załóżcie związek zawodowy. To najlepszy sposób, aby stanąć w swojej obronie, swoich kolegów i społeczności oraz aby uzyskać godziwe wynagrodzenie.

– Porozmawiajmy o Donaldzie Trumpie i jego politycznych posunięciach, słynnych deregulacjach. Jakie jest Pani zdanie na ten temat?

– Myślę, że jest to kluczowe przesłanie dla polityków w Europie, którzy bardzo uważnie przyglądają się temu, co robi Donald Trump. Należy pamiętać, że europejski model społeczny jest elementem naszej przewagi w stosunku do USA. Wysoko wykwalifikowani pracownicy cenią sobie fakt, że w Europie można odpocząć na urlopie, że mamy publiczną służbę zdrowia i inne systemy prospołeczne. Jestem świadoma istnienia wielu wyzwań, ale w porównaniu z sytuacją pracowników w USA w Europie udaje się nam wywalczyć o wiele więcej. Jest to możliwe za sprawą naszego modelu społecznego i naszego sposobu prowadzenia biznesu. W Europie jest o wiele więcej solidarności między ludźmi. Mamy także wyso-

CHCEMY MIEĆ WPŁYW NA AGENDĘ DLA WSZYSTKICH PRACOWNIKÓW W CAŁEJ EUROPIE. CHCEMY WYKORZYSTAĆ DO TEGO SIŁĘ SOLIDARNOŚCI, OPRZEĆ SIĘ NA WAS.

TRZEBA OPRACOWAĆ PLAN, KTÓRY POMOŻE ZWIĄZKOM ZAWODOWYM I PRACODAWCOM ZAPEWNIĆ MOŻLIWOŚĆ OBJĘCIA 80% PRACOWNIKÓW UKŁADAMI ZBIOROWYMI PRACY.

eprasa.pl c60911d094

kiej jakości produkty żywnościowe i wysokie standardy bezpieczeństwa, jeżeli chodzi o atesty. W europejskich produktach nie ma trucizny. Jeśli chcesz kupić bezpieczną zabawkę dla dziecka, wybierzesz zabawkę z europejskim atestem bezpieczeństwa. Powinniśmy tę naszą przewagę docenić i zauważyć. Do tego zachęcałabym polityków. „Made in Europe" jest marką, jest wartością. Trump także docenia fundamentalny model społeczny, który mamy w Europie, a także nasze standardy dzielenia się dobrami, dzięki czemu nie ma na naszym kontynencie nędzy. Uważam, że należy skupić się na tym, co w nas najlepsze, zamiast próbować ścigać się z konkurencją. Jeśli chodzi o płace i standardy pracy, nie chcemy turbokapitalizmu, ale modelu społecznego zbudowanego na układach zbiorowych i na solidarności między państwami członkowskimi Unii Europejskiej. Ona powinna być dużo większa. Sprawiedliwsze powinny być także systemy podatkowe, aby ci, którym powodzi się bardzo dobrze, płacili więcej niż ludzie najbiedniejsi. Chcemy redystrybucji dóbr na rzecz pracowników oraz uczciwej płacy w zamian za uczciwą pracę. To wszystko możemy osiągnąć dzięki układom zbiorowym.

– Donald Trump powiedział, że Zielony Ład w Ameryce się skończył. Co powinniśmy zrobić jako Europa? Ponownie przemyśleć Europejski Zielony Ład czy go porzucić?

– Wiele związanych z tym problemów jest słusznie podkreślanych przez Solidarność i inne związki zawodowe. Słyszeliśmy o groźbie deindustrializacji w ramach strategii dekarbonizacji. Martwię się, czy środki, które zostaną zaproponowane, będą wystarczające, aby ocalić przemysł i zaradzić problemom społecznym oraz dać szansę pracownikom. Podkreślałam to podczas spotkań z europejskimi decydentami – praca jest podstawowym punktem odniesienia, kołem ratunkowym, tym, czego się trzymasz, dzięki czemu stać cię na mieszkanie, a twoja rodzina ma środki na utrzymanie. Nie można oczekiwać od pracowników, że puszczą oni tę „linę życia", nie wiedząc, jaka będzie następna „lina", której się chwycą. I to jest największy brakujący element w tym wszystkim. Pracownicy nie mają przekonania, że transformacja dokona się w bezpieczny dla nich sposób. Dużym błędem, którego się obawiam, jest stwierdzenie, że odpowiedzią na to wszystko będą odpowiednie umiejętności i przekwalifikowanie. Tak jakby ludzie pracujący nie byli wykwalifikowani. Oczywiście, że są. Mają wiele umiejętności. Wyzwanie polega na tym, że powinni oni nagle swoje umiejętności zmieniać, nie mając przy tym dostępu do odpowiednich kursów, szkoleń. Albo może być tak, że praca, którą mogliby podjąć, jest w innym miejscu Europy. Potrzeba znacznie bardziej skupić się na potrzebach i możliwościach pracowników w kontekście lokalnym, regionalnym. I musi to wszystko być oparte na prawdzie, każdy pracownik powinien mieć szansę zapoznać się z planem przekształceń na rynku pracy, programem wsparcia dla swojej branży i swojej firmy, dowiedzieć się, co dokładnie powinien zrobić, aby dać sobie radę. Tymczasem obecnie takiego podejścia do pracownika brakuje. Nasze dane pokazują, że od 2008 r. zlikwidowano 2,5 miliona miejsc pracy. 100 000 w przemyśle stalowym i to tylko w ostatnim okresie. To prawdziwy dzwonek alarmowy, który powinni usłyszeć europejscy decydenci i zacząć ratować przemysł. Pracodawcy powinni być także zobowiązani do zapewnienia powodzenia swoim pracownikom. Nie może być tak, że sukcesem cieszą się tylko ci „na szczycie". On jest wspólnym dziełem wszystkim pracowników.

Współpraca Agnieszka Żurek

EUROPEJSKI MODEL SPOŁECZNY JEST ELEMENTEM NASZEJ PRZEWAGI W STOSUNKU DO USA.

ZLIKWIDOWANO 100 000 MIEJSC PRACY W PRZEMYŚLE STALOWYM. TO PRAWDZIWY DZWONEK ALARMOWY, KTÓRY POWINNI USŁYSZEĆ EUROPEJSCY DECYDENCI I ZACZĄĆ RATOWAĆ PRZEMYSŁ.

eprasa.pl c60911d094

DZIEŃ KOBIET 2025

Kobiety są STRAŻNICZKAMI ŻYCIA

Miażdżąca większość kobiet, bo niemal 100 proc. badanych, jest przeciwna przystępowaniu Polski do wojny, na przykład tej, która toczy się przeciwko Rosji na Ukrainie. – Akcja społeczna i badanie „Matki przeciw wojnie" pokazuje, że chcemy być podmiotem zarówno w dyskusjach o takiej ewentualności, jak przystąpienie Polski do wojny, jak i w jakichkolwiek rozważaniach o macierzyństwie – mówi dr **Katarzyna Obłąkowska** w rozmowie z **Pawłem Pietkunem**.

Fot. arch. K. Obłąkowskiej

– Co Panią skłoniło do przeprowadzenia badania „Matki przeciw wojnie"? Temat wydaje się odległy nie tylko od kobiet, ale również przeciętnego mężczyzny. W końcu decyzję o wojnie może podjąć rząd w porozumieniu z prezydentem, parlament. Nas, a już szczególnie kobiet, nikt o zdanie na ten temat raczej pytać nie będzie...

– Do realizacji tej akcji społecznej i badania natchnęła mnie chęć upodmiotowienia matek i skupienia się na dwóch najważniejszych obecnie kwestiach – właśnie pokoju i dzietności, czyli macierzyństwie. Zależało mi na spojrzeniu na te dwa obszary z innej niż powszechna perspektywy, czyli właśnie kobiet i matek. Matek, które są – o czym często zapominamy – strażniczkami życia. Chciałam też pokazać piękno macierzyń-

eprasa.pl c60911d094

stwa. Współcześnie coraz rzadziej mówi się o jego pięknie. Nawet w dyskusjach o dzietności kobieta zaczyna być traktowana przedmiotowo. A przecież to wcale nie jest tak, że kobieta ma rodzić dzieci i koniec. To kobiety same, z różnych powodów, decydują o tym, że chcą mieć dzieci. Widzą w tym sens i piękno. Kobiety decydują o życiu. Prowadząc politykę demograficzną, politykę prodzietności, powinniśmy pamiętać o tym, że jeżeli zależy nam na wzroście liczby urodzeń, konieczna jest zmiana narracyjna dotycząca samego macierzyństwa, które jest piękne, i zupełnie inne przedstawienie kobiety jako matki. Jako strażniczki życia właśnie.

– Niedawno były pomysły, żeby Polska wysłała na Ukrainę coś na kształt wojsk ekspedycyjnych już po zawieszeniu broni pomiędzy Rosją i Ukrainą i stała się strażnikiem pokoju w tym targanym przez wojnę kraju. Z Pani badania wynika, że Polki, niemal wszystkie, absolutnie się na to nie godzą!

– Publikacja raportu wiąże się z zakończeniem organizowanej przeze mnie akcji „Matki przeciw wojnie", która była nakierowana na to, co jest dla nas najważniejsze obecnie, czyli przede wszystkim pokój. Bo widzi pan, to matki, a nie politycy, żegnają w drzwiach domów swoje dzieci, najczęściej swoich synów, gdy ci są wysyłani na wojnę. I to matki chowają później swoje dzieci, ponosząc największe możliwe do wyobrażenia cierpienie. Od tego pytania zaczęłam więc swoje badania, w których wzięło udział niemal 4 tysiące kobiet. 99,8 proc. z nich sprzeciwia się włączeniu się Polski w wojnę. A ponieważ kwestia wojny i pokoju jest w rękach polityków, którzy powinni kierować się dobrem państwa, narodu i naszą przyszłością, to jest dobry moment, żebyśmy my, kobiety, matki, wyraziły nasze zdanie. W ostatnich latach nikt nie pytał kobiet, matek przede wszystkim, o opinię na podobne tematy. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że matki zostały w pewien sposób wypchnięte na margines. Zresztą całe piękno macierzyństwa jest właśnie spychane gdzieś w cień. Mam nadzieję, że dzięki tej akcji i moim badaniom będzie ono mogło wybrzmieć. Oczywiście zupełnie inna jest sytuacja, gdy ojczyzna zostaje zaatakowana. Jesteśmy narodem, który wyjątkowo pamięta, czym jest wojna obronna, czym jest obrona własnego domu i najbliższych. Kiedy państwo, naród, ojczyzna zostają zaatakowane, to walka w ich obronie jest obowiązkiem i honorem. Potrzebę obrony własnego domu, własnej rodziny, własnej ojczyzny polskie matki doskonale rozumieją.

Wracając do drugiego tematu badania... Jego podłożem było jeszcze kilka ważnych aspektów. Proszę zwrócić uwagę, że pozycja matki w społeczeństwie została niewyobrażalnie osłabiona. „Matka" nie brzmi dzisiaj dumnie. Zwrot „matka Polka" kojarzy się dziś wielu osobom raczej negatywnie, ze zmęczoną życiem kobietą z ciężkimi siatkami, goniącą z pracy do szkoły dzieci, potem do domowych obowiązków. Oczywiście nie wszystkim z nas. Degradacja pojęcia matki zaszła daleko wskutek rewolucji kulturowej, w której obecnie żyjemy. Rewolucji, która niekoniecznie musi być korzystna dla matek, a przede wszystkim dla tego, co w naukach społecznych nazywamy dzietnością. Nie da się oddzielić macierzyństwa od dzietności, to jedna wartość i musimy na nią ze starannością spoglądać. To z pewnością między innymi ten regres znaczenia macierzyństwa doprowadza do tego, że mamy coraz mniej dzieci, że dzietność w Polsce jest tak niska, że to nam po prostu, jako narodowi, zaczyna zagrażać.

– I właśnie tu pojawia się Pani pytanie: „Dlaczego kobieta chce mieć dziecko?". Inną wagę ma chęć bycia matką, inną marzenie o posiadaniu dziecka, inną marzenie o rodzinie, a jeszcze inną poczucie bezpieczeństwa przy mężu czy partnerze. Generalnie dała Pani do wyboru aż 35 takich powodów. Dlaczego Polki chcą być matkami?

– Kobiety decydują się na dzieci, bo chcą mieć rodzinę, bo chcą być matkami, bo pragną mieć dziecko. To te najczęściej wybierane odpowiedzi. Jednak nie bez znaczenia pozostaje to, że widzą w macierzyństwie piękny sens. A każdy człowiek potrzebuje do życia sensu! Współcześnie ogromny problem ze znalezieniem sensu ma młodzież, właśnie przez rewolucję kulturową, która trwa. Rewolucję, która próbuje wdrukować w świadomość inną niż naturalna definicję matki oraz wagę rodziny i miłości. Definicję, w której macierzyństwo to kłopot, w której macierzyństwa nie da się pogodzić na przykład z rozwojem zawodowym, z przyjaźnią czy zainteresowaniami. W rzeczywistości, jak powiedziałam, matki to kobiety, które pragną stworzyć rodzinę – taką odpowiedź wskazało prawie 60% badanych pań. To kobiety, które pragną być matkami, które widzą sens w posiadaniu dziecka, które bycie matką postrzegają jako przywilej kobiety. Matki to po prostu piękne kobiety. Bardzo ważna w decyzji o potomstwie jest dla nich także miłość do męża czy partnera oraz stworzenie z mężem czy partnerem dobrego związku. To są fundamenty rodziny.

eprasa.pl c60911d094

Jednak rodzina jest dzisiaj w zupełnej defensywie jako instytucja społeczna. Jest spychana na margines przez toczącą się właśnie rewolucję promowaną przez media głównego nurtu. Ale pomimo to jest dla nas ogromnie ważna, a matka odgrywa w niej podstawową rolę, choć mądrzy i szanujący matki ojcowie również są kluczowi. „Szacunek" jest tu słowem wytrychem.

Kobiety widzą sens w posiadaniu rodziny, byciu mamą, posiadaniu dziecka, w miłości! Czyli jest zupełnie inaczej, niż nam się to często przedstawia – częstokroć w takiej narracji możemy spotkać naprawdę negatywne i przytłaczające opisy dotyczące rodziny czy macierzyństwa.

Tworzona jest medialna konkluzja, że skoro zdarzają się rodziny patologiczne, to najgorszym miejscem do życia dla dziecka jest... rodzina, i jedyne, co rodzina może dać dziecku, to... trauma. A przecież doskonale wiemy, że rodzina jest najlepszym miejscem dla dziecka, jest fundamentem, daje mu tzw. kotwice, czyli te wartości, które są dla niego sensem w całym życiu. Człowiek nie potrafi żyć bez sensu. Tu właśnie najsilniej pojawia się rola matki, której miłość i troska w pierwszych latach życia budują w dziecku podstawowe zaufanie – to zaufanie, które staje się dla nas podstawą przyszłości, naszego zaufania do świata i do siebie, które warunkują nas na całe życie. Zatem koniecznie musimy odejść od słów degradujących, opisując rodzinę. Dla dobra nas samych, dla zachowania naszych wartości i dla dobra dzieci.

– Mamy konkluzje z tego badania. Ale co dalej?

– Będę starała się upowszechniać wyniki tego badania po to, aby zwrócić uwagę na konieczność zmiany narracji – narracji również o rodzinie, na tę rewolucję kulturową, która się dokonuje, a jednak kobiety potrzebują tego, co było od wieków w ramach ich roli jako matki. Kobiety potrzebują szacunku, poczucia godności, dostrzegania ich pięknej pracy, a tego jest dzisiaj bardzo mało. Jeżeli nic się nie będzie zmieniało w narracji publicznej, w mainstreamowych mediach, to myślę, że za jakiś czas będzie potrzebne powtórzenie tej akcji, może w jeszcze szerszym wymiarze.

KONIECZNIE MUSIMY ODEJŚĆ OD SŁÓW DEGRADUJĄCYCH, OPISUJĄC RODZINĘ.

– Czy badając matki, nie odniosła Pani wrażenia, że pokolenie Z jest przegrane? Ono najmocniej zapomniało o rodzinie i macierzyństwie...

– Nie, nie możemy powiedzieć, że to już jest przegrane pokolenie. Ma ono jednak dzisiaj bardzo trudno – pamiętajmy, że dorastało w czasach ogromnego wpływu na nie ideologii, które są niszczące dla rodziny. Rodzice w dużej mierze nie potrafili go obronić. Rodzice tego nie zauważyli, a jednocześnie pojawiła się umniejszająca rolę matki i ojca, a podnosząca rolę psychologów, psychiatrów i pedagogów szkolnych, narracja. Ci psycholodzy, pedagodzy zadziałali – w dużej mierze, bo nie wszyscy – jak forpoczta rewolucji kulturowej. Dzisiaj rodzice się budzą. Jednak rzeczywiście zetki dorastały jako nastolatki w ogromnie trudnych czasach, czasach pomieszania wartości, ale wierzę, że one odnajdą tę potrzebę przyjęcia rzeczywistych wartości. Wierzę, że zetki odnajdą te fundamenty, które dadzą im prawdziwy sens w ich życiu.

POTRZEBĘ OBRONY WŁASNEGO DOMU, WŁASNEJ RODZINY, WŁASNEJ OJCZYZNY POLSKIE MATKI DOSKONALE ROZUMIEJĄ.

– Chociaż zanim się pozbierają, może być za późno. To pokolenie, które w znakomitej większości po prostu się nie rozmnaża.

– Myślę, że to także się zmieni. Teraz wiek urodzenia pierwszego dziecka bardzo się opóźnił, wynosi średnio prawie 29 lat. Miejmy nadzieję, że to jedno, dwoje, a może nawet troje dzieci zetki zdążą mieć, w czasie gdy jeszcze będą mogły mieć dzieci. Mężczyźni zaś będą na tyle dojrzali i mądrzy, żeby te kobiety czy też dziewczyny, zetki wspierać we wspólnym wychowaniu nowego, pięknego pokolenia. Gdy będą mieli siwe włosy, jestem pewna, że powiedzą z pełnym przekonaniem, że dzieci były dla nich najniezwyklejszą przygodą i sensem ich życia.

Dr Katarzyna Obłąkowska, socjolog, autorka badania „Matki przeciw wojnie".

eprasa.pl c60911d094

MIX PŁYT

Bartosz Boruciak

WHITE 2115 – BENTLEY MUSIC MIXTAPE

WYD. SONY MUSIC

Po energetycznym intro wkraczamy w trapowy świat White'a. A w nim znajdują się amerykańskie wzorce sprawnie przeniesione na polski grunt, jeżeli mówimy o stylu nawijania i melodyce. Tekstowo? Nic szczególnego, coś trzeba nawinąć, żeby kompozycja nie była jałowa. Jednak muzycznie nie ma wstydu – idealne dźwięki do klubu czy na domowe imprezy. Krążek jak wiele innych. Młodzi pokochają, starzy nie zrozumieją. Produkt współczesnych czasów. Nie wstrząsa ani nie przeszkadza.

YOUNG IGI, SERGIUSZ, 2K – KSZTAŁT MIŁOŚCI MIXTAPE

WYD. DEF JAM RECORDINGS POLAND

Z powodzeniem ten krążek można zestawić z wydawnictwem White'a. Jednak są pewne różnice na korzyść Young Igiego. „Kształt miłości" jest zdecydowanie bardziej melodyjnym krążkiem, a tytułowy kawałek zostaje dłużej w pamięci. Igi sprawnie posługuje się efektami dźwiękowymi. Na szczęście nie eksponują jego braków, których z roku na rok jest coraz mniej. Producenci wykonali kawał roboty i spowodowali, że trapowy album płynie. W pojedynku White vs. Igi wybieram Igiego. Jest szansa, że ta płyta zagości u mnie na playliście, która będzie towarzyszyła mi w rozrywkowych momentach.

DWA SŁAWY – DOBRZE BY BYŁO

WYD. 2020

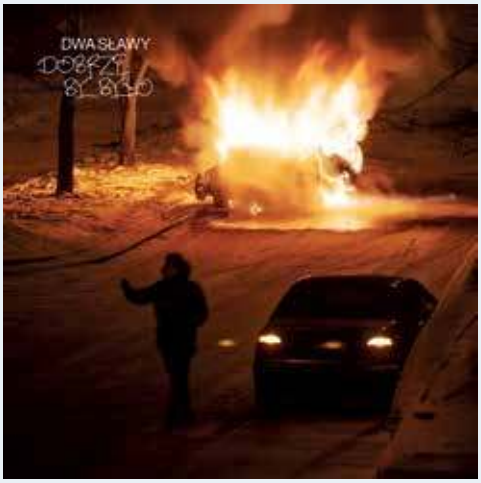

Dwa Sławy biją na dwie głowy młodszych kolegów. Słuchając raperów, odnoszę wrażenie, jakbym grał w ping-ponga z profesjonalnymi zawodnikami, którzy serwują bardzo szybkie piłki. Flow gospodarzy jak zawsze na wysokim poziomie. Odnajdują się w każdej muzycznej stylistyce. Bardzo dobrze, że są jeszcze twórcy, którzy dbają o słowo. Cud, miód i orzeszki. Polecam!

COMMON, PETE ROCK – THE AUDITORIUM VOL. 1

WYD. LOMA VISTA RECORDINGS

To najlepsza propozycja w tym zestawieniu. Dwóch weteranów słowa i muzyki spotyka się w studiu i przekazuje nam prawdziwie hiphopową płytę, którą składa hołd tej kulturze. Słowa znajdują się w odpowiednim miejscu i czasie. Dobrze jest posłuchać artystów, którzy po wielu sukcesach w branży muzycznej wciąż mają zajawkę na nowe utwory. Doświadczeni zawodnicy wciąż potrafią zaskoczyć i bardzo dobrze. Płytę polecam!

eprasa.pl c60911d094

KULTURA

Czytaj też:
Złoto 58

– Muzyka mnie karmi, a jeżeli coś z tego mam, to jest super. Jestem jeszcze na takim etapie, że bardzo cieszę się, że mogę jechać do studia na sesję nagraniową, mam próbę, występuję przed ludźmi. Czuję olbrzymią radość, kiedy ktoś powie dobre słowo na temat mojej twórczości – mówi **Mademoiselle Dorota**, wokalistka, autorka tekstów, kompozytorka, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

Fot. Marta Ulatowska

eprasa.pl c60911d094

Po udanej premierze singla „Tak, Ty” czas na kolejne nowości. Kontynuacją nowego rozdziału w twórczości Mademoiselle Doroty, w ramach którego artystka stawia na **własne teksty** i śpiewanie po polsku, jest utwór „Król Palantów”. Lekka, popowa kompozycja wzbogacona o szlachetne brzmienie wiolonczeli to idealna propozycja dla tych, którzy w popie szukają czegoś niesztampowego i jakościowego.

Źle się czuję, GDY NIE ŚPIEWAM

– Jaki szeroki uśmiech od ucha do ucha. Podoba mi się, i to bardzo.
– Trzeba dzielić się z ludźmi pozytywną energią [śmiech].

– To bardzo rzadka postawa. Jesteś po dobrych warsztatach z komunikacji?
– To we mnie tkwi. Od rodziców otrzymałam dużo pozytywnej energii.

– Masz rodzeństwo?
– Tak. Dwóch starszych braci.

– I wszyscy się uśmiechacie w trakcie rodzinnych spotkań?
– Staramy się. Są gorsze i lepsze dni, ale jest dużo miłości.

– To dlaczego nie założyliście grupy kabaretowej?
– Bo zajęłam się śpiewem i tego się trzymam [śmiech].

– Od zawsze chciałaś być artystką?
– Pisanie tekstów i komponowanie było później. Natomiast zawsze chciałam śpiewać. Kiedy miałam siedem lat, mama mnie zapisała na zajęcia śpiewu w Białej Podlaskiej, skąd pochodzę. Uczyłam się u Marcina Kalickiego, to był mój pierwszy nauczyciel śpiewu. Ciągnęło mnie do konkursów i występów.

– Jakie piosenki wtedy śpiewałaś?
– Moją pierwszą piosenką, której się uczyłam, był „Zakazany owoc” Krzysztofa Antkowiaka. Były też „Smerfne Hity”. Po angielsku śpiewałamna początku „Don’t speak” No Doubt. Pamiętam, jak brat napisał mi ją fonetycznie na kartce. Drugi również mi pomagał w tłumaczeniach. Na pewno nie byli zadowoleni z tego, że ich młodsza siostra nieustannie ćwiczy śpiewanie. Opowiem Ci anegdotę.

MIŁKA MAŁECKA, MOJA NAUCZYCIELKA ŚPIEWU, ZAWSZE POWTARZAŁA, ŻE TEKST JEST NAJWAŻNIEJSZY. ŻE MUSI BYĆ PRZEKAZ. MUSZĘ WIEDZIEĆ, O CZYM ŚPIEWAM.

– Proszę bardzo.
– Gdy występowałam w amfiteatrze w Białej Podlaskiej, słyszałam moją starszą koleżankę Dorotę, jak śpiewa po francusku. Wtedy odwróciłam się do rodziców i powiedziałam mamie, że też będę śpiewać jak Dorota. Dzięki gigantycznemu wsparciu moich rodziców zaczęłam indywidualnie uczyć się języka francuskiego, potem pojechałam do Warszawy uczyć się w dwujęzycznym liceum, i tak wyjechałam na studia do Francji.

– Jaki kierunek studiów tam skończyłaś?
– Lingwistykę stosowaną z zarządzaniem międzynarodowym.

– Dlaczego wróciłaś do Polski?
– Totalnie przez przypadek.

– Jak to? Praca? Miłość?
– Covid. Skończyłam studia. Odebrałam dyplom w grudniu 2019 roku. Po studiach przyjechałam do rodziców do Białej i dla sprawdzenia wysyłałam CV do różnych miejsc. Trafiały do różnych państw, np. chciałabym mieszkać w Hiszpanii i oczywiście nauczyć się języka. Byłam na kilku rozmowach rekrutacyjnych i otrzymałam pracę w tej firmie, w której obecnie pracuję.

– W jakiej branży?
– IT.

– To odbiegasz od stereotypu pracownika branży IT.
– Zajmuję się marketingiem [śmiech].

– Aaa, i wszystko jasne!
– Czyli nie takie całkowite wyjście poza schemat.

eprasa.pl c60911d094

– Jak wyglądało Twoje zderzenie z rynkiem pracy?
– Na początku było to bardzo trudne. Często zmieniałam miejsce zamieszkania. Erasmus, praktyki, które np. miałam w Chinach. Na początku brakowało mi skoku na głęboką wodę. Na szczęście poznałam superosoby, dzięki którym wróciłam do muzyki. W trakcie studiów miałam zespół. Graliśmy francuskie piosenki. Warto przypomnieć, że w grudniu 2023 roku wydałam płytę z piosenkami po francusku. Można jej posłuchać we wszystkich serwisach streamingowych. Piosenka francuska cały czas we mnie jest. Kiedy występuję na scenie z moim pianistą Stanisławem Łopuszyńskim, to mamy recital piosenki polskiej – Agnieszka Osiecka, Kabaret Starszych Panów, Wojciech Młynarski – oraz recital piosenki francuskiej.

– Jest na to odbiorca? Polacy lubią muzykę francuską?
– Dwa razy tak.

– Jak wygląda przestrzeń do takiej muzyki. Odnalazłbym się w niej?
– Zdecydowanie tak. Koncerty odbywały się najczęściej w domach kultury. Sale są pełne. Widać, że ludzie potrzebują posłuchać artystów, którzy mają coś do opowiedzenia. Oprócz tego mówimy, o czym są piosenki, które śpiewamy w języku francuskim. Opowiadamy historie powstawania danych utworów w bardzo ciekawy i oryginalny sposób. Jeżeli chodzi o wiek odbiorców, to są to zarówno młodsi, jak i starsi słuchacze. Recital trwa półtorej godziny.

– Kiedy planujesz koncerty z własnym repertuarem?
– Muszę coś zaplanować. Jeżeli będę systematycznie publikować nowe single, to przypuszczam, że w czerwcu wydam EP-kę i wtedy będę myślała o koncertach z autorskim materiałem.

– Piosenka francuska nie gryzie się z pracą w korporacji?
– Nie.

– Koleżanki i koledzy z pracy wiedzą o Twojej aktywności?
– Wiedzą.

– Kibicują Ci?
– Bardzo. Kiedy trzeba coś polubić i zagłosować, to od razu garną się do tego. Mamy też kolegę, który jest fantastycznym malarzem, genialnie maluje – nazywa się Tadeusz Delman. Można sprawdzić jego dzieła w mediach społecznościowych i na jego stronie internetowej. Jeżeli ma się pasję, to zawsze na jej rozwój znajdzie się czas.

– Korporacja wypełniona artystami [śmiech].
– Zdecydowanie tak!

– Twoje najnowsze single są zajawką tego, co moglibyśmy usłyszeć w czerwcu?
– Będzie różnorodnie. Tam będą moje teksty. Na pewno trudniej mi się pisze w języku polskim niż po francusku. Będą również moje kompozycje, które aranżuję z Mikołajem Błaszczykiem.

– Nie chciałabyś wejść do głównego nurtu, porzucając swoją niszę?
– Nie wiem. Czas pokaże. Chociaż chętnie poszłabym do telewizji śniadaniowej i zaprezentowałbym widzom swoje utwory. Na razie publikuję twórczość, która w mojej głowie była od dłuższego czasu. Obecne utwory są odzwierciedleniem tego, kim jestem. Wychowałam się w duchu poezji śpiewanej, piosenki aktorskiej. Miłka Małecka, moja nauczycielka śpiewu, zawsze powtarzała, że tekst jest najważniejszy. Że musi być przekaz. Muszę wiedzieć, o czym śpiewam.

CHCIAŁABYM MIESZKAĆ W HISZPANII I NAUCZYĆ SIĘ HISZPAŃSKIEGO.

– Twoja nauczycielka mówi, jakby była ulicznym oldskulowym raperem.
– [Śmiech] Pozdrawiam z tego miejsca również męża Miłki – Artura Grudzińskiego, fantastycznego pianistę.

– Jak często chodzisz do niej na zajęcia?
– Teraz rzadziej. Miłka mieszka w Bydgoszczy.

– Muzyka jest wyłącznie Twoim hobby czy nową możliwością zarabiania pieniędzy?
– Jest moim celem. Marzeniem każdego artysty jest, żeby utrzymywać się z tego, co robi. Jednak zawsze stąpam mocno po ziemi. Wiedziałam, że muszę iść na studia. Zawsze wychodziłam z założenia, że potrzebuję podstawy i stabilności w życiu. A im więcej w nim muzyki, tym lepiej. W momentach, w których nie śpiewam, nie występuję, nie piszę piosenek, mam duży spadek energetyczny i emocjonalny.

ŻEBY PISAĆ PIOSENKI, TRZEBA MIEĆ NATCHNIENIE I DOBRE HISTORIE.

eprasa.pl c60911d094

– Masz ADHD?
– Możliwe, możliwe [śmiech]. Muzyka mnie karmi, a jeżeli coś z tego mam, to jest super. Jestem jeszcze na takim etapie, że bardzo cieszę się, że mogę jechać do studia na sesję nagraniową, mam próbę, występuję przed ludźmi. Czuję olbrzymią radość, kiedy ktoś powie dobre słowo na temat mojej twórczości.

– Cieszysz się jak małe dziecko. Kiedy mówisz o muzyce, oczy Ci błyszczą. Szkoda, że Czytelnicy tego nie widzą. Jesteś jedną z nielicznych osób, która pracuje w korporacji i się śmieje, a nie sztucznie uśmiecha. Jak to robisz? Jesteś maskotką drużyny w firmie?
– Bywam maskotką [śmiech]. A w tej firmie zaraz mi minie piąty rok.

– Nie kusi Cię powrót do Francji?
– Jak się przydarzy taka okazja, to z chęcią. Czy to będzie Francja, czy inne państwo? Trzeba się rozwijać, odkrywać nowe kultury i miejsca. Aczkolwiek patrząc na moją działalność sceniczną, ciężko byłoby mi się od tego odłączyć i przeprowadzić do innego państwa.

– Gdzie mieszkałaś we Francji?
– W Nancy, w Lotaryngii.

– Kogo obecnie mogłabyś supportować na trasie koncertowej?
– Byłoby mi bardzo miło, gdyby pan Kuba Badach chciał, żebym go supportowała. Kiedy jestem na jego koncercie albo Poluzjantów, to piszczę głośno. To jest fantastyczny wokalista. Do tego jest wielkim jajcarzem na scenie. Jest fenomenalny.

– Ktoś jeszcze oprócz Badacha?
– Mietek Szcześniak, Mikromusic.

– Czy Twoim zdaniem muzyka idzie w kierunku bycia dodatkową aktywnością, a nie pracą na pełny etat?
– To każda osoba wchodząca w świat muzyki musi podjąć indywidualną decyzję, co jej najbardziej odpowiada. Na razie jestem zadowolona ze swojego życia.

– To prawda, że masz kota?
– Tak. Mam kota Radosława. Uwielbiam go. Jest to najcudowniejsze stworzenie na tej planecie.

– Słuchając Twojej twórczości, spodziewałem się kogoś innego. A tutaj niespodzianka! Twoje życie też jest takie przewrotne?
– Lubię, gdy się dzieje. Żeby pisać piosenki, trzeba mieć natchnienie i dobre historie.

– A czy masz jakąś rzecz, którą bardzo lubisz, a o której nie mówisz głośno?
– Chipsy. Mogłabym być ambasadorką tej słonej przekąski.

– Tego Ci życzę i wielu innych sukcesów!
– Dziękuję bardzo [śmiech]!

OD RODZICÓW OTRZYMAŁAM DUŻO POZYTYWNEJ ENERGII.

Dorota Sacewicz

Wokalistka znana jako Mademoiselle Dorota, której pseudonim artystyczny ma swoje źródło w wieloletniej edukacji na kierunku lingwistyki stosowanej i zarządzania międzynarodowego na Université de Lorraine w Nancy, we Francji. Artystka wkroczyła na scenę muzyczną, mając zaledwie 7 lat, a obecnie łączy swoje pasje, pracując na stanowisku managera marketingu, wieczorami i w weekendy zaś oddaje się swojej prawdziwej miłości – muzyce.

W grudniu 2023 roku Dorota spełniła swoje marzenie, nagrywając i wydając samodzielnie debiutancki album zatytułowany „Pensées nocturnes". Płyta będąca efektem długotrwałych planów i artystycznego rozwoju to hołd złożony latom spędzonym we Francji. Nagrana w języku francuskim jest nie tylko muzyczną podróżą, ale również osobistym kontaktem z krajem, który odegrał istotną rolę w dojrzewaniu Doroty i odkrywaniu samej siebie. Autorskie piosenki nabrały koloru przy współpracy z utalentowanym wiolonczelistą i aranżerem Mikołajem Blascello, który pomógł wokalistce tchnąć w jej twórczość nowe brzmienie.

Kontynuując tę współpracę, Dorota pracuje aktualnie nad piosenkami w języku polskim. Do swojej pracy podchodzi z wielkim entuzjazmem, podkreślając, że wieczorne godziny spędzone nad każdym utworem to jedne z jej ulubionych chwil.

Mademoiselle Dorota do swoich osiągnięć zalicza między innymi udział w koncercie upamiętniającym powstańców w 70. rocznicę Powstania Warszawskiego oraz w koncercie poświęconym pamięci Krzysztofa Kamila Baczyńskiego w 100. rocznicę urodzin poety w Teatrze Palladium w Warszawie, Grand Prix w Konkursie im. Violetty Villas w Ciechocinku, finał Studenckiego Festiwalu Piosenki w Krakowie, II miejsce na Festiwalu im. Czesława Niemena w Luboniu, finał konkursu Pamiętajmy o Osieckiej oraz I miejsce w konkursie Plus 2 Talent w Paryżu.

eprasa.pl c60911d094

SERIAL

Złoto

Sebastian Pytel

Jeśli istnieje jakiś ranking najbardziej wziętych obecnie ludzi w Hollywood, Taylor Sheridan albo go zaczyna, albo nie schodzi z podium. „Yellowstone", „1883", „1923", „Tulsa King", „Special Ops: Lioness", „Burmistrz Kingstown" i najświeższy „Landman: Negocjator", wszystkie sygnowane nazwiskiem Sheridana, zajmują bodaj pół osobnej kategorii w jednym z serwisów streamingowych. Co ważne, każdy z powyższych seriali zyskał uznanie zarówno w oczach widzów, jak i krytyków. Kolejne sezony czy kolejne historie od pana S. nie muszą więc długo czekać na zielone światło. W przygotowaniu jest już „The Madison" z Michelle Pfeiffer.

Sheridan karierę zaczynał jako model, a następnie aktor drugiego i trzeciego planu. Prawdziwe powołanie odnalazł jednak w roli scenarzysty. Słynnym, debiutanckim „Sicario" otworzył sobie drzwi do międzynarodowej kariery. Za kolejne „Aż do piekła" miał już nominację do Oscara, a znakomitym „Wind River" ugruntował swoją pozycję w branży. Głównym tematem jego tekstów jest ziemia i jej granice, terytorium wyznaczane przez ludzi, arena walk o wpływy. W „Sicario" było to pogranicze, szlaki transportowe między USA i Meksykiem, na którym toczą się regularne wojny narkotykowe. „Aż do piekła" opowiadało o desperackiej próbie ocalenia rodzinnej farmy, a „Wind River" o przeklętej ziemi w indiańskim rezerwacie. Tegoroczny „Landman" to z kolei pokłosie amerykańskiej sagi, zapoczątkowanej przez „Yellowstone". Oglądamy pola naftowe w Teksasie, miejsce, w którym przecinają się interesy robotników, prawników, przestępców i potentatów paliwowych. Czarne złoto napędza ekonomię, gospodarkę i jednostkowe losy samych wydobywców. To właśnie najbliżej tych ostatnich będziemy przez cały sezon.

Za przewodnika robi niejaki Tommy Norris (świetny Billy Bob Thornton), facet, który „ropny" biznes zna od podszewki – dzięki niemu kiedyś zdobył wszystko, a potem niemal wszystko stracił. Tommy jest facetem w zasadzie od wszystkiego: w pierwszej scenie pod bronią i z workiem na głowie negocjuje umowę dzierżawy ziemi z lokalnym kartelem narkotykowym, w kolejnej musi uporać się z katastrofą lądową w pobliżu odwiertów, by następnie ugłaskać hodowcę bydła, któremu pożar z rafinerii zajął kawałek ziemi. Oficjalnie Tommy ma jakieś dyrektorskie stanowisko, ale pasuje ono do tego, co robi, jak pięść do nosa. Bo Tommy to tak zwany fixer, specjalista od rozwiązywania problemów. A tych, w ciągu dziesięciu odcinków serialu, trochę się nazbiera.

eprasa.pl c60911d094

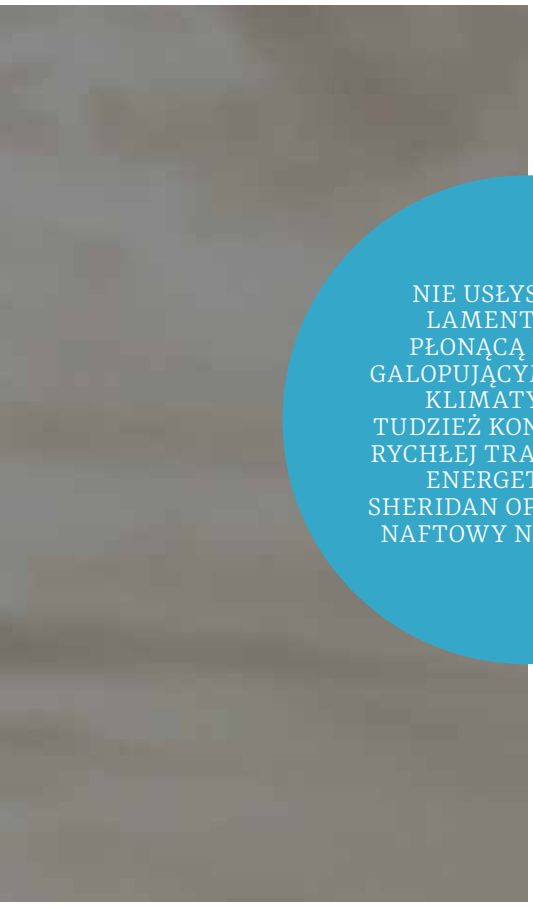

Fot. kadr z filmu

„Landman", podobnie jak inne produkcje Sheridana, wyróżnia się klimatem, szczegółowością i przystępnością świata przedstawionego. Autor „Sicario" bardzo szybko potrafi zjednać sobie widzów, od ustawienia właściwego tonu, przez zachowanie realiów, po wyraziste postacie. Już pierwszy odcinek kipi od konkretów: widzimy z bliska, jak wygląda praca w terenie, z jakim ryzykiem się wiąże (na każdym szczeblu) i jakie ma znaczenie w szerszym planie. Poznajemy galerię ciekawych bohaterów, ich motywacje i sprzeczne interesy. W uszy wpadają dobrze napisane dialogi, oczy cieszą piękne i surowe krajobrazy teksańskich bezdroży. Słowem: wzorcowy przykład pilota, który zaciekawia i rozbudza apetyt na więcej.

Owo „więcej" pojawia się zresztą dość szybko – Sheridan poszerza perspektywę o losy właściciela pól naftowych (znakomity Jon Hamm) i jego codzienny harmonogram. Zaglądamy za kulisy rynkowe: patrzymy na walkę o utrzymanie ceny baryłki w konkretnym przedziale, rozmowy z politykami, biznesowe przeciąganie liny, ciągłe napięcie i stres połykane razem z lekami na nadciśnienie. To również ten najmniej politycznie poprawny aspekt całej opowieści, odczarowujący stereotyp o bogatych, bezdusznych kapitalistach czy wyższości tzw. zielonej energii nad paliwami kopalnymi. Nie usłyszymy tu lamentów nad płonącą planetą, galopującym kryzysem klimatycznym, tudzież koniecznością rychłej transformacji energetycznej. Sheridan opisuje rynek naftowy (i jego „zieloną" konkurencję) na trzeźwo. Weźmy taki dialog:

NIE USŁYSZYMY TU LAMENTÓW NAD PŁONĄCĄ PLANETĄ, GALOPUJĄCYM KRYZYSEM KLIMATYCZNYM, TUDZIEŻ KONIECZNOŚCIĄ RYCHŁEJ TRANSFORMACJI ENERGETYCZNEJ. SHERIDAN OPISUJE RYNEK NAFTOWY NA TRZEŹWO.

– Kto jest właścicielem tych wiatraków?

– Firmy naftowe. Używamy ich do zasilania szybów. W tym miejscu nie ma elektryczności.

– Korzystacie z czystej energii, by zasilać wydobywanie ropy?

– Energii alternatywnej, która wcale nie jest czysta. Masz pojęcie, ile ropy trzeba spalić, żeby wymieszać beton, wyprodukować stal, zwlec to wszystko tutaj i złożyć do kupy za pomocą 140-metrowego dźwigu? Zgadniesz, ile ropy potrzeba, żeby ten wiatrak nasmarować i przygotować do zimy? Podczas dwudziestoletniej eksploatacji bynajmniej nie zmniejsza to śladu węglowego. Nie będę wspominał o panelach słonecznych ani litowej baterii w twojej Tesli. Pomijam fakt, że gdyby jutro cały świat postanowił się zelektryfikować, nie mamy możliwości poprowadzenia linii wysokiego napięcia do miast; zajęłoby to trzydzieści lat. Mamy studwudziestoletnią infrastrukturę opartą na ropie. Zależy od niej całe nasze życie. Ropa jest we wszystkim. W drodze, którą przyjechaliśmy, kołach każdego samochodu, rakietach tenisowych, szminkach, lodówkach i lekach na alergię. Jest w obudowach telefonów, sztucznych zastawkach serca, w każdym rodzaju odzieży poza skórzaną, w mydle, kremie, sieciach rybackich. Gdyby firmy naftowe uznały, że wiatraki to przyszłość, stawiałyby je wszędzie. Wydobywanie ropy to najniebezpieczniejsza praca na świecie. Nie robimy tego z zamiłowania, tylko dlatego, że nie mamy innego wyjścia.

Ale „Landman" to też niewspółczesne „Aż poleje się krew". Sheridan fakty i mity o paliwowym krajobrazie świata wkłada w całkiem konwencjonalny serial o głowie rodziny zmagającej się z całkiem przyziemnymi problemami: usterkami w relacjach z wyjątkowo emocjonalną żoną (bardzo dobra Ali Larter), roztrzepaną córką (Michelle Randolph) i synem (Jacob Lofland), który stale wpada z deszczu pod rynnę. Temperatura ich wzajemnych potyczek niejednokrotnie sprawia, że „Landman" pachnie porządnym amerykańskim sitcomem. Bez śmiechu „z puszki", z lekkim jak pianka humorem słownym i sytuacyjnym. Jak udało się pożenić tak różne konwencje? To już cecha prawdziwego fachury w tym zawodzie – człowieka, którego wartość rynkowa mówi sama za siebie. Jeśli przemysł rozrywkowy uznamy za jeden z bardziej ryzykownych finansowo biznesów, Taylor Sheridan jawi się w nim jako jedna z niewielu pewnych inwestycji. Właśnie dlatego nikt nie zastanawia się dwa razy, gdy słyszy od niego: „Mam pomysł na serial".

„Landman: Negocjator" (Landman), twórcy: Taylor Sheridan, Christian Wallace, scenariusz: Taylor Sheridan, Christian Wallace, obsada: Billy Bob Thornton, Jon Hamm, Ali Larter, Jacob Lofland, Michelle Randolph, Demi Moore, gatunek: dramat, produkcja: USA 2024, 10 odcinków.

eprasa.pl c60911d094

Ekstremalna Droga Krzyżowa. Moja pierwsza myśl? Odciąganie ludzi od Kościoła i sakramentów, New Age, „Pan Bóg jest wszędzie i można modlić się do drzewa”, te rzeczy. Moje pierwsze doświadczenie? **Jeszcze gorsze**. A jednak – „Po owocach poznacie...”.

Agnieszka Żurek

Pomysł EDK, przeżywania Drogi Krzyżowej w nocy, w lesie, podczas długiego, kilkudziesięciokilometrowego marszu, narodził się niedawno, bo w 2009 roku.

Krzyż drogi, lęku, porzucenia

Była to inicjatywa ks. Jacka Stryczka, pomysłodawcy m.in. Szlachetnej Paczki. Hasła przewodnie EDK to: „wyzwanie, droga, zmaganie, spotkanie”. Jej pomysłodawcy wskazują kilka wytycznych, według których powinna być organizowana w poszczególnych parafiach. Zgodnie z nimi trasa powinna liczyć co naj-

eprasa.pl c60911d094

mniej 40 km, wymagać od uczestnika co najmniej 8 godzin marszu, biec poza głównymi drogami i terenami gęsto zaludnionymi, być pokonywana w nocy i w milczeniu, bez robienia pikników podczas odpoczynku w przerwach od marszu.

Pomysł wzbudził początkowo moją nieufność. O ile za wspaniałą inicjatywę uważam „tradycyjne" pielgrzymki do sanktuariów maryjnych, takie z krzyżem na czele, z kapłanami, Mszami polowymi, Godzinkami i Różańcem, o tyle EDK wydała mi się nieco „świecka" i kładąca nacisk raczej na „wyczyn" niż na spotkanie Boga. Postanowiłyśmy jednak z Małgosią (za chwilę oddam jej głos), że przekonamy się na własnej skórze, jak wygląda to wydarzenie. Wybrałyśmy się w drogę z sanktuarium na warszawskich Siekierkach do Góry Kalwarii.

Fot. Adobe Stock

– Na ekstremalną Drogę Krzyżową namówiła mnie przyjaciółka. Pomyślałam: „Czemu nie? Może to być dobre doświadczenie na czas Wielkiego Postu". Piękna Msza Święta w wieczornej scenerii, a potem wymarsz ulicami Warszawy, którymi doszliśmy do ścieżki nad samą Wisłą. Owszem, miałam impuls, by zawrócić po dość zabawnej medytacji – wyznaniu mamy, która zdobyła się na odwagę, by zapobiec karmieniu dzieci w przedszkolu drożdżówkami. „No ale nic, Pan Bóg zaprasza i pod taki krzyż" – pomyślałam. Idziemy dalej. Znalazłyśmy się na ścieżce nad Wisłą. Wyboista, nocą jeszcze bardziej trudna. Po drodze oddałyśmy jedną latarkę kobiecie, która szła bez oświetlenia, sama. Cały czas miałyśmy na horyzoncie kilku młodych mężczyzn i nie chciałyśmy ich zgubić z oczu, by nie zostać w gęstwinie przybrzeżnych, krzaków, drzew. Za nami sygnał karetki pogotowia, pomyślałam: „Pani z latarką jest zaopiekowana" – relacjonuje Małgorzata Jędrzejczyk.

– Panowie wyprzedzili nas na tyle, że już straciłyśmy nadzieję, by ich dogonić. Mamy swój krzyż samotności, pretensji, że zostałyśmy pozostawione same. Myślałam tylko, żeby jakoś przejść, przetrwać. Rozważanie Drogi Krzyżowej jakoś nie szło. Czułam, że opadam z sił, że nie dam rady dojść do końca, i w sumie to nie wiedziałyśmy, którędy iść. Skierowałyśmy się w stronę łuny świateł. Czwarta nad ranem. Na rozwidleniu droga asfaltowa. Cóż, kto wychodzi o tej porze na drogę pod lasem? Ale prośba do Anioła Stróża, już nieraz ratował nas cudownie z opresji w górach. Stanęłyśmy przy słupie oznaczającym przystanek, czekając na cud. Trzeba było się dostać do Warszawy. Po paru minutach taksówka. Zdarzył się cud. Taksówkarz zadziwiony, co tu robimy o tej porze, więc opowiadamy całą historię o Drodze Krzyżowej i o tym, że prosiłyśmy Anioła o interwencję. Kierowca z kolei opowiedział, że obudził się jakoś dziwnie za wcześnie i postanowił ruszyć do pracy, a przy okazji kieruje go na drodze aplikacja „Road Angel". Kupa śmiechu. Wróciłyśmy cało do domów. Pomyślałam, że jakoś Droga Krzyżowa nie wyszła, ale Jezus się nami zaopiekował, niósł z nami nasz krzyż drogi, lęku, porzucenia przez innych i pomógł, wysłał przez Anioła taksówkarza. Cały czas jest i pomaga cieszyć się życiem i nieść różne inne krzyże, bo kocha jak nikt – puentuje swoją opowieść pątniczka.

> CZWARTA NAD RANEM. NA ROZWIDLENIU DROGA ASFALTOWA. CÓŻ, KTO WYCHODZI O TEJ PORZE NA DROGĘ POD LASEM?

Misterium Męki Pańskiej

Rozważania Drogi Krzyżowej zaskoczyły także inną uczestniczkę EDK Joannę Majewską-Wichrań.

– Nie czytałam ich niestety wcześniej, żeby właśnie przeżyć głęboko każdą stację już w czasie drogi.

eprasa.pl c60911d094

Natomiast rozważania były świeckimi świadectwami, według mnie zupełnie nienadającymi się na Drogę Krzyżową – bez odniesienia do Pisma Świętego, do tradycji, do świętych... Żałowałam, że wcześniej nie zapoznałam się z nimi, bo na pewno wzięłabym jakieś bardziej głębokie i stosowne. Ale w końcu te rozważania potraktowałam jako dodatkową pokutę [śmiech] – opowiada. Kobieta wyruszyła wraz z siostrą w 42-kilometrową trasę z parafii Dobrego Pasterza na warszawskiej Woli do Niepokalanowa. Kiedy tylko rozpoczęły marsz, zaczął padać śnieg, temperatura spadła sporo poniżej zera, pogoda załamała się, było śnieżnie, zimno i wietrznie. Po jakimś czasie wszystko pozamarzało – woda, kanapki. – Szłyśmy jednak dziarsko, z różańcami w dłoniach, w modlitewnej ciszy – relacjonuje. – Gdzieś w połowie drogi, na około 20. kilometrze (około 7. stacji Drogi Krzyżowej), poczułam, że bardzo bolą mnie wszystkie mięśnie, a na piętach i podeszwach stóp zrobiły mi się ogromne, żywe rany. Wtedy zaczęłam dziękować Panu Bogu za ten śnieg i lód na drodze – bo nie mogąc z bólu normalnie iść, musiałam pomalutku szurać jak zgarbiony staruszek – i dzięki temu, że było mniejsze tarcie, łatwiej mi się szło, ślizgając. Ale i tak ból był ogromny. Każde stąpnięcie odczuwałam jak chodzenie po ostrych szkłach i rozżarzonych węglach. Tak już było do końca ponad 20 kilometrów. Nie siadałyśmy na przystankach, bo bałyśmy się, że już nie damy rady się podnieść, że zostaniemy w którejś zaspie śnieżnej. I to nie dlatego, że ogarniała nas senność, której bardzo się wcześniej bałam, a tej zupełnie, o dziwo, na EDK nie doświadczyłam – ale z tego okropnego bólu stóp i zmęczenia mięśni. To był nieporównywalny ból do bólu Męki Pana Jezusa, ale wtedy, tej nocy, słowa z Koronki do Bożego Miłosierdzia: „Dla Jego bolesnej Męki...” były dla mnie bardzo, bardzo bliskie. Kiedy później dzieliłam się tym doświadczeniem z pewną siostrą zakonną, która modliła się za nas – to powiedziała ze śmiechem, że tej nocy naprawdę bardzo bolały ją nogi – opowiada moja rozmówczyni. – Niosłyśmy ze sobą wszystkie powierzone nam intencje, modląc się za żywych i za zmarłych. Kiedy tylko choć na chwilę przerywałyśmy modlitwę, natychmiast odczuwalnie opadałyśmy z sił. Ani razu nie miałyśmy jednak ochoty się poddać, ani przez moment nie żałowałyśmy też wybrania się w drogę. To było niesamowite przeżycie.

NIE SIADAŁYŚMY NA PRZYSTANKACH, BO BAŁYŚMY SIĘ, ŻE JUŻ NIE DAMY RADY SIĘ PODNIEŚĆ.

POLECAM EDK WSZYSTKIM, KTÓRZY ZECHCĄ WYRWAĆ SIĘ ZE STREFY KOMFORTU I ZMIERZYĆ ZE SOBĄ.

Polecam to doświadczenie każdemu, a szczególnie ojcom z dorastającymi synami. Brak mi słów, żeby wyrazić swoją wdzięczność Panu Jezusowi, Najświętszej Maryi Pannie, Aniołom Stróżom i każdemu, kto się za nas modlił. Chwała Panu za ten czas! – konkluduje.

Inny mój rozmówca, Maciej Kałęcki, na EDK wybrał się wspólnie z żoną. – Ja bardzo lubię wszelkiego rodzaju biegi, marsze, rajdy etc., natomiast moja małżonka niekoniecznie – dla niej 2–3 kilometry przy ładnej pogodzie to jest maksimum. A tymczasem przeszliśmy ponad 30 km w szybkim tempie – z przyczyn od nas niezależnych musieliśmy wrócić wcześniej – żona dała radę, co samo w sobie jest małym cudem – śmieje się mężczyzna. – Szliśmy z Parczewa, gdzie mieszkamy, do parafii w Ostrowie Lubelskim. Cała trasa przebiegała przez Lasy Parczewskie, padał śnieg z deszczem, było chłodno, wiał wiatr, psuła się też nawigacja. Z początku to zniechęcało, powodowało lęk. Ale już od pierwszej stacji Drogi Krzyżowej zaczęło do nas docierać Misterium Męki Pańskiej. To dawało nam siłę i poczucie celu. Złapaliśmy duchowy wiatr w żagle. Niezwykłe było doświadczenie ciszy, ciemności, uczestniczenia w misterium. Duch Święty prowadził nas, dodawał sił, pokazywał drogę – dzieli się refleksją Maciej. I dodaje: – Polecam EDK wszystkim, którzy zechcą wyrwać się ze strefy komfortu i zmierzyć się ze sobą. EDK to dobre doświadczenie także dla osób niezdecydowanych, szukających swojego miejsca w Kościele, mających być może negatywny obraz Kościoła, ale czujących zarazem, że gdzieś w ich sercu kiełkuje jakieś ziarenko miłości. S

eprasa.pl c60911d094

CO NAM MÓWI DZIŚ KS. JERZY?

Hetman

Piotr Grzybowski

Szedł wolnym krokiem wokół grobu księdza Jerzego. W lewej dłoni ściskał różaniec. Choroba, a teraz ostatnie tygodnie od porwania, oczekiwania na jego powrót, w końcu ta straszna wiadomość o zamordowaniu kapłana bardzo go przygniotły. Przecież tak niedawno ksiądz Jerzy odwiedził go w szpitalu, rozmawiali, na koniec poprosił o błogosławieństwo. To był ostatni raz, kiedy widział go żywego...

Przystanął i zdawało się, że lekko się zachwiał. Chwycił dłonią pręt z ogrodzenia kościoła, szukając w nim oparcia. Palce bezwiednie natrafiły na ślady po kulach. Polskich? Niemieckich? Z powstania – są do dzisiaj. Od niemieckich zginęli ci od Żywiciela, wydobyci z piwnic „Twierdzy" u Sióstr Zmartwychwstanek. Pożegnał ich w ostatniej drodze na Powązki, wtedy jako proboszcz u Jana Kantego.

Dochodziła 21.00. Z wieży kościoła odezwały się dzwony: „Jan" i „Józef".

– Trzeba zamówić kolejny, „Jerzy" – wyszeptał i ruszył wolnym krokiem w stronę plebanii.

Dostojny, wielki i odważny – ksiądz prałat Teofil Bogucki, Hetman.

Tak mogłaby się zacząć opowieść o wielkim żoliborskim proboszczu, wspaniałym kapłanie, dobrym i mądrym człowieku.

Ksiądz Teofil był posłany na Żoliborz w roku 1952 do nowo utworzonej parafii Jana Kantego. „Chcę być dobrym pasterzem mojej owczarni, stać się wszystkim dla wszystkich..." – mówił do parafian w swojej pierwszej przemowie. I był – wsparciem dla potrzebujących, podporą dla upadających i wyrozumiałością dla błądzących. Organizował opiekę nad młodzieżą, samotnymi i chorymi, i sam się w nią włączał. Robił to, co mówił – dawał przykład, a nie tylko pouczał.

Do parafii Świętego Stanisława Kostki, w sąsiedztwie Jana Kantego, ksiądz Teofil Bogucki trafił pod koniec 1974 r. Do zwykłych obowiązków proboszcza doszły kolejne: dziekana, kierowania Duszpasterstwem Społecznym czy Komitetem Posłannictwa Świeckich w ramach Synodu Archidiecezji Warszawskiej. Wtedy też za namową druhny Hanny Szczepanowskiej umieścił na bocznej ścianie kościoła napis „Bóg i Ojczyzna", a pod nim tablice pamięci martyrologii milionów Polaków i figurę Jezusa Frasobliwego.

Powszechnie widziany jako człowiek prawy i szlachetny. Choć wzbudzał respekt, był ciepły i ojcowski. To właśnie dzięki tej umiejętności zbudował wspólnotę kapłańską. Wspólnotę, której odrodzenia dziś tak dramatycznie potrzeba. Był kapłanem żywej wiary, modlitwy i nadziei. Kochał swoje kapłaństwo, które budował w sobie dojrzale, świadom roli kapłana w Kościele i Ojczyźnie.

W 1980 r. do żoliborskiej wspólnoty dołączył jako rezydent młody ksiądz – Jerzy Popiełuszko. W kraju narastały protesty wobec komunistycznej władzy, rodziła się Solidarność. Ksiądz prałat w październiku tego samego roku zainicjował Msze za Ojczyznę, modlitwę za kraj, ale też formowanie siebie, kapłanów i wiernych do bycia świadomym i gotowym do walki, i gotowym do poniesienia ofiary. U jego boku – ksiądz Jerzy...

O ile bez wątpienia święci Jan Paweł II i ojciec Maksymilian Maria Kolbe oraz bł. Prymas Stefan Wyszyński wyznaczyli drogę kapłaństwa księdza Jerzego, o tyle ksiądz Teofil Bogucki był tym, który ostatecznie przygotował go, aby był gotów nią kroczyć. Stał przy nim jak cień, dodawał siły i odwagi. Chronił jak Anioł Stróż, za życia i po męczeńskiej śmierci. To ksiądz Teofil widział w księdzu Jerzym świętego, rozpoczynając jego drogę do uznania błogosławionym, a za chwilę świętym.

Ks. Teofil Bogucki stał przy ks. Jerzym jak cień, dodawał mu siły i odwagi. Chronił jak Anioł Stróż, za życia i po męczeńskiej śmierci.

14 czerwca 1987 r. ksiądz Teofil witał Jana Pawła II przybywającego do grobu Patrona Solidarności. Padł na kolana i ze łzami w oczach powiedział „Teraz mogę umierać".

Zmarł w nocy z 8 na 9 września. Spoczywa nieopodal grobu księdza Jerzego.

eprasa.pl c60911d094

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **4 MARCA** zdarzyło się:

1979 – papież Jan Paweł II ogłosił swoją pierwszą encyklikę „Redemptor hominis";

2007 – W Estonii odbyły się wybory parlamentarne, pierwsze w Europie Wschodniej umożliwiające głosowanie przez internet.

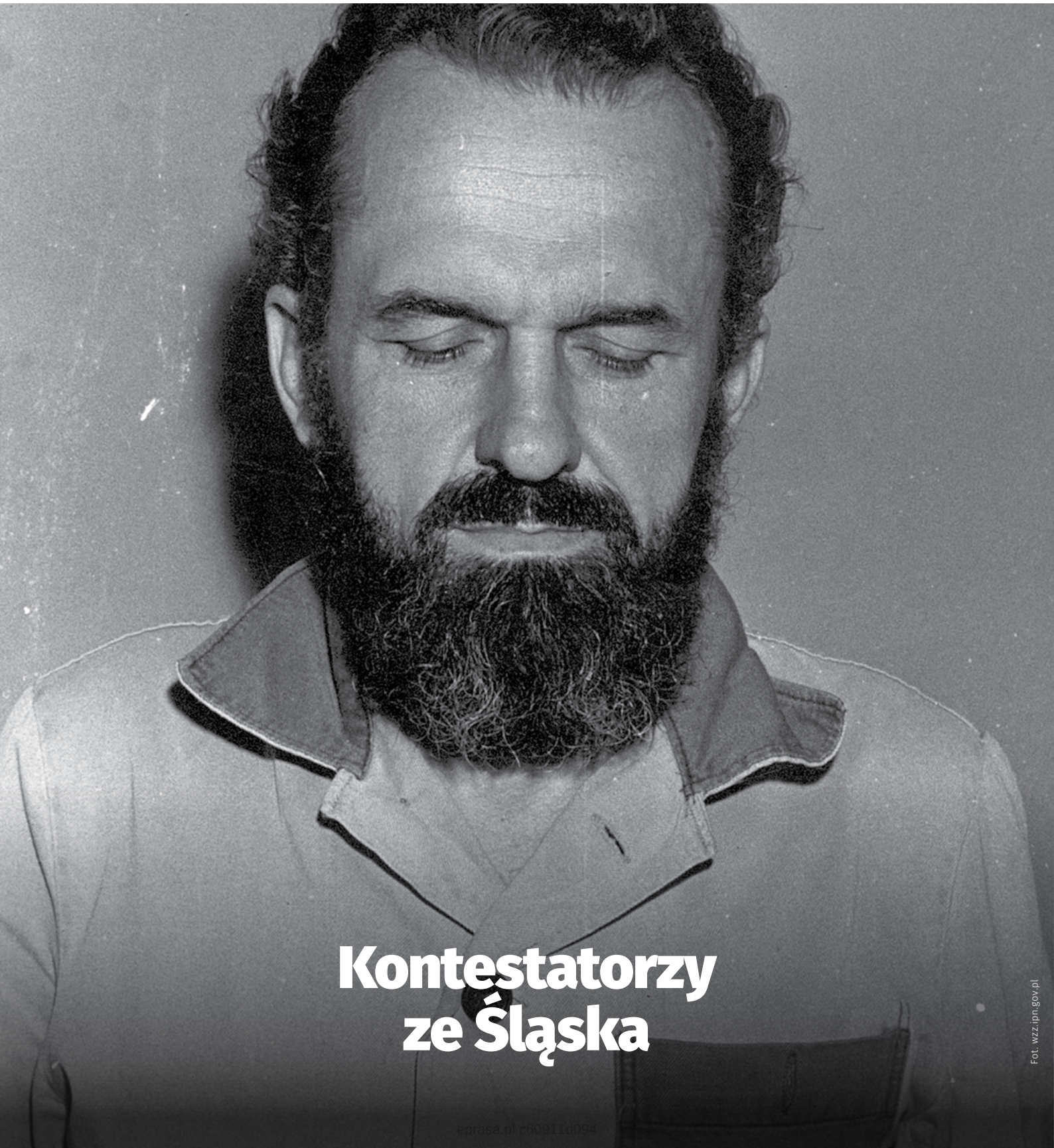

Kontestatorzy ze Śląska

Fot. wzz.ipn.gov.pl

eprasa.pl c60911b094

W czwartek, 4 września 1980 r., dochodziła północ, kiedy dwóch mężczyzn wysiadło z nyski zaparkowanej przy ul. Mikołowskiej w Katowicach i weszło do kamienicy stojącej w pobliżu kościoła Świętych Apostołów Piotra i Pawła. Esbecy obserwujący dom pod numerem 30 skrzętnie zanotowali numer rejestracyjny samochodu: SZ 3293. Pół godziny później zapisali również, że tychże dwóch mężczyzn wyszło w towarzystwie **Kazimierza Świtonia**. Wsiedli do nyski i odjechali w kierunku Dąbrowy Górniczej.

Sebastian Reńca

Od kilku dni w Hucie Katowice, sztandarowym zakładzie wybudowanym w latach 70., trwał strajk, który wybuchł na wieść o protestach robotników z Wybrzeża. Na czele strajku stał Andrzej Rozpłochowski, trzydziestoletni mechanik, który do pracy w Zagłębiu Dąbrowskim przyjechał w 1977 r. z Inowrocławia.

Sierpień '80

W sierpniu 1980 r. Kazimierz Świtoń brał udział w pielgrzymce z Warszawy do Częstochowy. Tam dowiedział się o tym, że strajkują kierowcy komunikacji w Warszawie, że strajkuje Wybrzeże. Świtoń postanowił, że tam pojedzie, ale najpierw wróci do Katowic, i tak się stało 16 sierpnia. W domu odświeżył się, zmienił ubranie i wyszedł na dworzec. Było kilkanaście minut po godzinie 16, gdy szedł w towarzystwie córek ul. Stalmacha. Został zatrzymany i trafił do Komendy Miejskiej MO w Sosnowcu. Tam siedział w celi ze złodziejami. Wypuszczono go w poniedziałek, 18 sierpnia, o godz. 16, po 48 godzinach. Przed komendą czekała już na niego ekipa tajniaków z SB. Ulicą 22 Lipca doszedł wolnym krokiem do ul. Bieruta, gdzie wszedł na teren plebanii kościoła pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Tam spotkał się z duchownym, z którym serdecznie się przywitał, i wszedł z nim na plebanię. Był tam nieco ponad godzinę, a po wyjściu przeszedł na ul. Nowotki, gdzie wsiadł w autobus linii nr 8, którym dojechał do Katowic na ul. Armii Czerwonej.

Po powrocie do domu Świtoń rzadko z niego wychodził. Regularnie jedynie brał udział w nabożeństwach w pobliskim kościele pod wezwaniem Świętych Apostołów Piotra i Pawła. Czasami wyszedł na krótki spacer lub po gazety do kiosku. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jest pod permanentną obserwacją SB.

Na strajku

Wśród tych, którzy przyjechali po Świtonia, był Jacek Jagiełka, którego latem 1979 r. zwolniono bezprawnie z pracy w Hucie Katowice. Jagiełka zwrócił się o pomoc do Świtonia, który rok wcześniej założył Wolne Związki Zawodowe. Za namową współzałożyciela WZZ Jagiełka odwołał się do Okręgowego Sądu Pracy w Katowicach i już w grudniu został przywrócony do pracy. Świtoń był obecny na każdej rozprawie, a Jagiełka zaczął przychodzić na spotkania WZZ.

Rankiem 5 września 1980 r. Rozpłochowski wspólnie ze Świtoniem objechali hutę. Strajkujący robotnicy serdecznie witali Świtonia, a załoga walcowni postanowiła, że będzie on honorowym członkiem ich wydziałowej organizacji.

W ten sposób stał się on jedynym przedstawicielem WZZ w strajku, który doprowadził do czwartego porozumienia podpisanego wtedy ze stroną rządową. Stało się to 11 września 1980 r.

> ***Tylko wspólnymi siłami mamy szansę wydobyć się z wyzysku, stworzyć lepsze życie dla naszych rodzin i nas samych.***
>
> KAZIMIERZ ŚWITOŃ

Pierwsze WZZ

Wczesnym popołudniem 22 lutego 1978 r. z katowickiej komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej nadano szyfrogram do Departamentu III MSW w Warszawie, w którym pisano m.in.: „W dniu 21.02.1978 Kazimierz Świtoń powołał komitet organizacyjny o nazwie Komitet Pracowniczy Wolnych Związków, w skład którego weszli: Świtoń Kazimierz, Kściuczek Roman, Pines Ignacy, Kicki Tadeusz, Sulecki Władysław.

Kazimierz Świtoń przekazał do Warszawy przedstawicielowi ROPCiO Kazimierzowi Januszowi skład osobowy komitetu oraz przedstawicielowi KSS KOR Henrykowi

eprasa.pl c60911d094

Wujcowi skład osobowy oraz tekst założycielski".

Pomysł, by założyć związki zawodowe niezależne od państwa i Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, narodził się w roku 1977, podczas głodówki w kościele Świętego Krzyża w Warszawie. Już od sierpnia tego samego roku Świtoń prowadził w swoim mieszkaniu Punkt Konsultacyjno-Informacyjny Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

Był już więc znany Służbie Bezpieczeństwa, która żmudnie rozpracowywała niepokornego mieszkańca Katowic. Zastosowano wobec niego obserwację i inwigilację, ale też próbowano wobec niego oszczerstw, czasami wręcz prymitywnych, jak wówczas, gdy na klatce kamienicy, w której mieszkał przy ul. Mikołowskiej 30, kilka dni przed założeniem WZZ, ktoś – czyli „nieznani sprawcy", napisał na ścianie: „Tu mieszka złodziej, który okrada kościół".

Tamten Śląsk

Choć SB meldowała, że WZZ powstały w Katowicach 21 lutego, w istocie stało się to dwa dni później, co wyjaśnia dr Jarosław Neja z katowickiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej: „Właściwa inauguracja jej działalności została zaplanowana przez Świtonia na czwartek, 23 lutego 1978 r. Miała się więc ona odbyć w czasie przypadającego na ten dzień kolejnego spotkania w ramach Punktu Konsultacyjno-Informacyjnego. Tę właśnie datę Świtoń podawał później konsekwentnie jako dzień powstania katowickich WZZ".

O tamtym Śląsku z przełomu lat 70. i 80. Świtoń tak opowiadał w książce Zygmunta Trziszki „Na pohybel": „Na Śląsku nie mogliśmy do 1980 roku nawiązać kontaktów z inteligencją. Na każdy proces musieliśmy prosić adwokatów z Warszawy: mec. Siłę-Nowickiego, Jana Olszewskiego lub mec. Piotra Andrzejewskiego. Śląsk w tym okresie był niesamowicie zastraszony, naszpikowany był Służbą Bezpieczeństwa i to powodowało, że liczyć można było tylko na robotników. Dlatego nasze działania nie rozwijały się tak intensywnie jak na Wybrzeżu".

Już dwa miesiące po powołaniu na Śląsku WZZ taka sama organizacja powstała na Wybrzeżu. 28 kwietnia 1978 r. Andrzej Gwiazda, Antoni Sokołowski i Krzysztof Wyszkowski podpisali „Deklarację Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża". Był temu przeciwny Jacek Kuroń, o czym tak Andrzej Gwiazda opowiadał w książce Remigiusza Okraski i Agnieszki Niewińskiej „Historia przyznała nam rację": „Kiedy spadły na nich represje [WZZ w Katowicach], cały ciężar obrony musiał przejąć warszawski KOR. Od tej pory Kuroń sprzeciwiał się powołaniu WZZ w Gdańsku, argumentując to fiaskiem śląskiej inicjatywy". Świtoń zaś wspominał, że Kuroń krzyczał na niego na wieść o założeniu WZZ:

– Jak to wy możecie wychodzić z inicjatywami, które obiecują robotnikom rzeczy nieosiągalne w tym ustroju, w tym państwie nie może być wolnych związków zawodowych! Jesteście szaleńcami, obiecujecie robotnikom kiełbasę, której sami nie macie. Co będą te związki robić? Zajmować się szafkami lub stołami do świetlic i szatni?

SB NIE TYLKO INTENSYWNIE REPRESJONOWAŁA „KONTESTATORÓW", ALE RÓWNIEŻ ROBIŁA WSZYSTKO, BY ICH ZDYSKREDYTOWAĆ W OCZACH SPOŁECZEŃSTWA.

BEZ WOLNYCH ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH, TYCH NA ŚLĄSKU I TYCH NA WYBRZEŻU, NIE BYŁOBY SOLIDARNOŚCI.

Fiasko czy sukces?

Można postawić tezę, że bez Wolnych Związków Zawodowych, tych na Śląsku i tych na Wybrzeżu, nie byłoby Solidarności, która narodziła się w sierpniu 1980 r. w Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Bezpośrednią przyczyną strajku, który wybuchł w Gdańsku 14 sierpnia, było zwolnienie tydzień wcześniej z pracy Anny Walentynowicz, działaczki WZZ Wybrzeża.

Deklaracja założycielska katowickiego komitetu WZZ podpisana przez Świtonia oraz jego współpracowników brzmiała:

„Samotni, niezorganizowani pracownicy wobec scentralizowanego wszechwładnego aparatu władzy, dyrekcji przedsiębiorstw i poganiaczy robotników – tzw. Związków Zawodowych – są bezsilni. Jesteśmy eksploatowani i wyzyskiwani, a za z trudnością zarobione pieniądze niewiele możemy kupić. Wymaga się od nas coraz to większego wysiłku, w zamian za co warunki bytowania nasze i naszych rodzin są coraz cięższe".

Dalej działacze śląskich WZZ pisali, że stan taki będzie trwał tak długo, jak długo Polacy, robotnicy nie będą potrafili się zjednoczyć i zorganizować, by stawić skuteczny opór wyzyskującemu aparatowi państwowemu i gospodarczemu. Z czasem w WZZ „powinny powstać sekcje branżowe skupiające ludzi różnych

eprasa.pl c60911d094

zawodów". „Robotnicy i pracownicy Górnego Śląska i Zagłębia jako pierwsi przystępują do formowania Wolnych Związków Zawodowych". Świtoń i jego współpracownicy wzywali robotników z całego kraju, by tworzyli WZZ, gdyż „tylko wspólnymi siłami mamy szanse wydobyć się z wyzysku, stworzyć lepsze życie dla naszych rodzin i nas samych".

Już w kwietniu opozycjoniści z WZZ wydali odezwę „Do robotników i pracowników Górnego Śląska i Zagłębia", wezwanie „Do robotników i pracowników w całej Polsce", „Apel do związków zawodowych całego świata", a w czerwcu „Apel do Międzynarodowej Organizacji Pracy w Genewie, organizacji związkowych wolnego świata oraz do wszystkich uczciwych ludzi w Kraju i na świecie".

Jednakże skala działalności była mniejsza niż WZZ Wybrzeża, gdyż – jak słusznie zauważa dr Jarosław Neja – w odróżnieniu od trójmiejskich i zachodniopomorskich działaczy WZZ, założonych w październiku 1979 r., większość działaczy „była związana z tamtejszymi kluczowymi przedsiębiorstwami i zakładami chociażby poprzez stosunek pracy", a śląscy wolnozwiązkowcy „stanowili grupę kontestatorów niemających – niestety – odpowiedniego oparcia w środowiskach pracowniczych dużych zakładów i przedsiębiorstw województwa katowickiego".

Ponadto SB nie tylko intensywnie represjonowała „kontestatorów", ale również robiła wszystko, by ich zdyskredytować w oczach społeczeństwa. Na Śląsku kolportowane były ulotki, z których wynikało, że w czasie okupacji Kazimierz Świtoń „służył hitlerowskim najeźdźcom, znęcał się i mordował Polaków. Chodził w wysokich butach oficerskich z pejczem i katował polskie dzieci i starców". I pal sześć, że Świtoń w momencie wybuchu wojny miał... 8 lat.

Czułem się niczym lekarz

Póki komuniści nie odebrali Świtoniowi koncesji na prowadzenie własnej działalności, ze względu na zaangażowanie opozycyjne, przez kilka lat naprawiał ludziom zepsute telewizory. Żona Dorota przyjmowała zamówienia napraw, a mąż, mając samochód – przedwojennego fiata 1100, jeździł po domach klientów.

Kazimierz Świtoń prawie całe życie związany był z Katowicami, jedynie w latach 50. mieszkał z żoną w Węgorzewie na Mazurach. Urodził się w 1931 r. w Ochojcu, dziś to dzielnica Katowic. Jego mama zmarła, gdy miał pięć lat, tata był ogrodnikiem. „To on wszczepił mi nienawiść do komunizmu; całe życie poświęcił przestrzeganiu przed totalitaryzmem stalinowskim – wspominał Kazimierz Świtoń. – Tak więc ja, wychowany w absolutnej wrogości do komunizmu, w tak zwanej Polsce Ludowej nie należałem nigdy do żadnych komsomolców chowu rodzimego. To było wprost oczywiste".

Mając sześcioro dzieci, w 1960 r. postanowił zrezygnować z pracy na etat i zaczął prowadzić własny warsztat naprawy telewizorów, o czym tak opowiadał w książce „Na pohybel": „Czułem się niczym lekarz, który chodzi po domach i ratuje życie «gadającym pudłom», wtedy bardzo cennym, bo nie było ich tak wiele. Taki mechanik jak ja był po prostu hołubiony".

Świtoń opozycjonista, związkowiec i polityk narodził się w maju 1977 r., gdy dowiedział się, że w Warszawie w kościele św. Marcina trwa głodówka w obronie więzionych wciąż robotników z Radomia i Ursusa oraz opozycjonistów. Katowiczanin postanowił, że tam pojedzie i wesprze protestujących. Żonie zostawił kartkę, że wyrusza do Warszawy i pojechał pociągiem do stolicy. W kościele spotkał poetę Stanisława Barańczaka i razem z nim poszedł do głodujących. Początkowo protestujący nieufnie podchodzili do nieznajomego mężczyzny ze Śląska, zyskał ICH przychylność dopiero po trzech dniach, kiedy już go sprawdzono.

Gdy w 1980 r. powstała Solidarność, Świtoń włączył się w działalność niezależnego i samorządnego związku zawodowego. Niestety, w wyniku esbeckich intryg i osobistych animozji rozeszły się jego drogi z Andrzejem Rozpłochowskim, który został przewodniczącym katowickiego Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego.

W 1983 r. Świtoń wspólnie z Anną Walentynowicz próbował zamontować na ogrodzeniu kopalni „Wujek" tablicę poświęconą górnikom zastrzelonym 16 grudnia 1981 r.

W wolnej Polsce, w latach 1991–1993, był posłem z ramienia Górnośląskiej Chrześcijańskiej Demokracji.

ŚWITOŃ STAŁ SIĘ JEDYNYM PRZEDSTAWICIELEM WZZ W STRAJKU, KTÓRY DOPROWADZIŁ DO CZWARTEGO POROZUMIENIA PODPISANEGO ZE STRONĄ RZĄDOWĄ 11 WRZEŚNIA 1980 R.

eprasa.pl c60911d094

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

„Pracownicy to serce firmy. Nie pozwólmy, by przestało bić”

Fot. T. Gutry

Pracownicy Poczty Polskiej z całego kraju zjechali 26 lutego do Warszawy, by zaprotestować przed centralą firmy. Związkowców wspierali działacze z innych zakładów pracy, między innymi z Zakładu Górniczego „Sobieski”, działacz opozycji demokratycznej Adam Borowski, a także parlamentarzyści zarówno z PiS, jak i Lewicy. Demonstranci postawili przed siedzibą Poczty symboliczną taczkę.

– Zarząd Poczty Polskiej bawi się ze stroną społeczną, jeśli chodzi o negocjacje układu zbiorowego. Dawniej negocjowaliśmy na Świętokrzyskiej, potem na Rodziny Hiszpańskich 8, teraz zarząd chce na Łączyny. Gdzie będzie wskazane kolejne miejsce? Zmierzamy do sytuacji absurdalnej, mamy ustawowe gwarancje jako partnerzy dialogu społecznego, jednak zarząd sam wygania nas na ulicę, byśmy protestowali – mówił Bogumił Nowicki, lider pocztowej Solidarności.

Pracodawca zamierza pozbyć się 9,3 tys. pracowników, stąd transparenty z hasłami: „Pracownicy to serce firmy. Nie pozwólmy, by przestało bić”, „Potencjał Poczty jest w ludziach”, „Bronimy miejsc pracy, bronimy Poczty”.

Związkowcy sprzeciwiają się masowej redukcji zatrudnienia w spółce, żądają prawdziwego, a nie pozorowanego dialogu z kierownictwem Poczty, a także transparentności w informowaniu o jej sytuacji finansowej. Od 12 lutego czekają na spotkanie z przedstawicielami Zarządu w budynku przy ul. Rodziny Hiszpańskich.

– Zarząd jedzie dziś do innego budynku, bo nie chce się z nami spotkać. Nie chce utrzymania dodatku stażowego, jubileuszowego, odprawy emerytalno-rentowej i premii rocznej. Nie może być negocjacji jednostronnych na zasadzie narzucania swojego projektu i mówienia, że nic więcej nie będzie, a strona społeczna nie otrzyma wyników finansowych firmy. Na to się nie zgodzimy, tak jak na tysiące zwolnień – podkreślał wiceprzewodniczący pocztowej Solidarności Piotr Mierzejewski.

Zaskakujące doniesienia w sprawie Poczty przekazał też uczestnikom protestu poseł Kacper Płażyński.

– Jakie było moje zaskoczenie, gdy przypadkiem dowiedzieliśmy się, że na ostatnim posiedzeniu Sejmu w ustawie Ordynacja podatkowa, która była prowadzona tylko przez komisję finansów, posłowie i rząd podejmowali decyzję, że Poczta nie będzie w dalszym ciągu mieć monopolu na dostarczanie przesyłek z datą pewną. Kilkaset milionów złotych monopolu, który do tej pory Poczta miała, teraz będzie rozdane między wszystkich operatów w Polsce – zwrócił uwagę parlamentarzysta.

Tego samego dnia przewodniczący Krajowego Sekretariatu Łączności NSZZ „S” Wiesław Królikowski wystosował pismo do prezydenta Andrzeja Dudy, prosząc głowę państwa o „stworzenie warunków do rzetelnych rozmów między stronami”, a także ewentualne zawetowanie ustaw „godzących w istnienie Poczty Polskiej”.

eprasa.pl c60911d094

Fot. M. Żegliński

„Pracodawca cały czas nas unika i jednostronnie narzuca spotkanie w innych budynkach. Jesteśmy przekonani, że nie chce podpisać Zakładowego Układu Zbiorowego Pracy".

Marcin Gallo, wiceprzewodniczący pocztowej „S", Tysol.pl, 24 lutego br.

WALKA O PODWYŻKI W HUTCHINSONIE

We wszystkich trzech podbeskidzkich zakładach Hutchinsona negocjacje płacowe zakończyły się podpisaniem protokołów rozbieżności. Związkowcy nie doszli do porozumienia z pracodawcą w sprawie podwyżek wynagrodzeń dla 2750 pracowników zatrudnionych w Bielsku-Białej oraz dwóch zakładach w Żywcu.

Na początku Solidarność w bielskim oddziale domagała się wzrostu wynagrodzeń w kwocie 3 zł brutto na godzinę, ale w trakcie rozmów obniżyła swoje żądania do 2,8 zł brutto z wyrównaniem od stycznia 2025 roku w postaci specjalnej premii. W przeliczeniu jest to kwota około 470 zł na miesiąc.

– Tymczasem pracodawca jedyne, co miał do zaproponowania, to kosmetyczne zmiany i przesunięcia pieniędzy z premii i dodatków stażowych do stawek zasadniczych. W rzeczywistości to nie będą żadne podwyżki – od samego mieszania herbata nie staje się słodsza – komentował Mieczysław Bienias, lider „S" w bielskim Hutchinsonie.

Niewystarczająca dla strony związkowej była także propozycja pracodawcy w żywieckim zakładzie nr 2 Hutchinsona.

– Oczekiwaliśmy 3-złotowych podwyżek, a pracodawca zaproponował 50 groszy od kwietnia, drugie 50 od lipca i jeszcze przesunięcie środków z premii do płacy zasadniczej. Nie mogliśmy się na to zgodzić. Na stole są jeszcze inne nasze postulaty, m.in. żądanie gwarancji zatrudnienia. Na pewno trzeba będzie o tym porozmawiać, jak też o uzdrowieniu sytuacji pracowniczej w zakładzie, bo jest z tym źle – zaznaczył szef zakładowej „S" Krzysztof Gaj.

Swoje niezadowolenie wyraził również Andrzej Kubica, przewodniczący Związku w zakładzie nr 1. stwierdził on, że pracodawca nie przejawia „jakiejkolwiek woli kompromisu".

– Teraz bardzo poważnie rozważamy kolejne formy nacisku na pracodawcę, bo bez tego chyba się nie obejdzie. Nasz statut i wcześniejsze doświadczenia podsuwają nam kilka możliwości do wyboru – zapowiedział Kubica.

Kolejnym etapem negocjacji płacowych będą rozmowy z udziałem mediatora. Zakłady Hutchinsona pozostają oflagowane na czas trwania sporu zbiorowego. Na ogrodzeniach pojawiły się także humorystyczne plakaty. Hutchinson posiada w Polsce 7 zakładów, w których produkowane są systemy zarządzania transferem płynów, uszczelnienia precyzyjne i karoseryjne, paski transmisyjne oraz systemy antywibracyjne.

BAL CHARYTATYWNY

Z inicjatywy Barbary Miszczuk, przewodniczącej MOZ NSZZ „S" w PKP S.A., w Restauracji Letniej wrocławskiego zoo odbył się I Bal Charytatywny. Szampańskiej zabawie towarzyszyła zbiórka funduszy na pomoc poszkodowanym we wrześniowej powodzi. Zarówno loterię fantową, jak i aukcję dobroczynną, podczas której licytowano pamiątki, obrazy czy maskotki, poprowadził znany dziennikarz Adrian Klarenbach.

W trakcie balu udało się zebrać pokaźną sumę 35 770 zł. W imieniu dolnośląskiej „S" przewodniczący Kazimierz Kimso złożył serdeczne podziękowania dla organizatorów, sponsorów, ofiarodawców i wszystkich uczestników, którzy hojnie wsparli zbiórkę dla potrzebujących. Jednocześnie zaprosił gości do udziału w przyszłorocznym balu, by kontynuować dobroczynną inicjatywę. Przypominamy, że Region Dolny Śląsk NSZZ „S" nadal zbiera środki finansowe na pomoc powodzianom – ich dramat jeszcze się nie skończył, wsparcie jest nadal potrzebne.

M.K.

Kalendarium

Solidarności

8–9.03.1981 – w trakcie krajowego zjazdu niezależnych organizacji chłopskich powstaje Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Rolników Indywidualnych „Solidarność", Jan Kułaj zostaje wybrany na jego przewodniczącego;

9.03.1983 – Anna Walentynowicz zostaje skazana przez sąd w Grudziądzu na 1,5 roku pozbawienia wolności w zawieszeniu za organizację strajku w grudniu 1981 r.;

7.03.1984 – w szkole w Miętnem uczniowie (ok. 400 osób) rozpoczynają strajk okupacyjny w ramach protestu przeciw usuwaniu krzyży z klas.

eprasa.pl c60911d094

Posiedzenie plenarne RDS w Pałacu Prezydenckim: „Apelujemy o dialog”

W **ubiegły czwartek** w Sali Kolumnowej Pałacu Prezydenckiego w Warszawie odbyło się posiedzenie plenarne Rady Dialogu Społecznego z udziałem prezydenta RP Andrzeja Dudy.

Barbara Michałowska, **Marcin Krzeszowiec**

Fot. M. Żegliński

Głównymi tematami spotkania były wyzwania rynku pracy w okresie transformacji energetycznej i cyfrowej oraz podsumowanie 10-letniej współpracy prezydenta RP z Radą Dialogu Społecznego.

Przed posiedzeniem odbyła się uroczystość powołania w skład Rady Dialogu Społecznego nowych członków: Marka Cierpiał-Wolana, prezesa GUS; Marcina Kulaska, ministra nauki; Jakuba Jaworowskiego, ministra aktywów państwowych; Krzysztofa Paszyka, ministra rozwoju i technologii; oraz Małgorzaty Mroczkowskiej-Horne z Konfederacji Lewiatan.

Podczas uroczystości Katarzyna Łażewska-Hrycko odznaczona została Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi dla rozwoju dialogu społecznego oraz za działalność na rzecz ochrony i bezpieczeństwa pracy.

„Z miesiąca na miesiąc jest coraz gorzej”

W trakcie posiedzenia plenarnego do jego uczestników przemawiał przewodniczący Rady Dialogu Społecznego, a także przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „S” Piotr Duda.

Szef „S” podziękował za kolejną możliwość, by Rada Dialogu Społecznego mogła obradować w obecności prezydenta. Mówił o tym, jak ważny jest dialog społeczny w Polsce, podkreślił przy tym, że toczył się on także w trudnym czasie pandemii.

– Jako Rada Dialogu Społecznego staramy się interweniować i ingerować w sprawy najważniejsze dla polskich pracowników. Dziś jesteśmy platformą, ale od dawna chcemy, by RDS stała się urzędem. Chcemy, by głos strony społecznej był usłyszany. Nie usłyszał go poprzedni rząd, mam

eprasa.pl c60911d094

nadzieję, że obecny pochyli się nad tą sprawą i niedługo staniemy się wreszcie urzędem – powiedział Piotr Duda.

Przewodniczący „S" odniósł się do tematu spotkania, czyli wyzwań rynku pracy w okresie transformacji energetycznej i cyfrowej. – Mamy dzisiaj tłusty czwartek, ale rynek pracy do tłustych nie należy. Z miesiąca na miesiąc jest coraz gorzej. Sztandarowe przykłady to sytuacja w takich zakładach pracy jak PKP Cargo, Poczta Polska, Rafako, Stellantis. Mógłbym tak długo wymieniać. Ale najgorszy jest brak poszanowania dla dialogu społecznego poszczególnych prezesów, na przykład zapraszanego niegdyś na obrady RDS prezesa PKP Cargo. [...] Teraz nie ma już tego prezesa, a stan spółki jest opłakany – podkreślił Piotr Duda. Zaapelował także do obecnego podczas obrad ministra aktywów państwowych Jakuba Jaworowskiego: – W tych podmiotach, nad którymi ma Pan nadzór, proszę, aby prawo pracy było przestrzegane.

Piotr Duda alarmował także o dramatycznej sytuacji pracowników Poczty Polskiej. – Pan prezes Sebastian Mikosz nie chce rozmawiać. Na siłę chce wprowadzić regulamin pracy. Tym bardziej jest to przykre, że dzieje się to w momencie, kiedy rozmawiamy o implementacji dyrektywy o adekwatnych minimalnych wynagrodzeniach i rokowaniach zbiorowych pracy – powiedział.

– Apelujemy jako strona społeczna Rady Dialogu Społecznego z Pałacu Prezydenckiego o dialog i o rozmowy, które są trudne, ale mają szansę dać dobre rozwiązania dla pracowników – dodał.

Szczególne posiedzenie

Z kolei w trakcie swojego wystąpienia prezydent Andrzej Duda podziękował wszystkim za przybycie na doroczne spotkanie w „siedzibie patrona dialogu społecznego".

– Dla mnie to też jest posiedzenie szczególne, bo kończę w tym roku swoją prezydencką misję po dwóch kadencjach, po 10 latach. W sierpniu zakończę tę służbę i w związku z tym także dla mnie tutaj, w Pałacu Prezydenckim, z państwem, to jest posiedzenie ostatnie i w tym sensie pożegnalne. Chciałbym państwu bardzo podziękować za wszystkie lata, kiedy miałem zaszczyt i przyjemność spotykać się z Radą Dialogu Społecznego, być i pracować z nią od właściwie samego początku, kiedy istnieje. Rozpoczynałem swoją prezydencką służbę razem z RDS od przewodniczenia przez pana Piotra Dudę i zamykam ją również na przewodniczeniu jej przez Piotra Dudę, więc jest to dla mnie miły akcent, że „dwóch Dudów" tutaj, w Radzie Dialogu Społecznego, te miejsca zajmuje – mówił prezydent RP.

Podziękował także wszystkim, którzy na przestrzeni lat byli członkami RDS-u: członkom organizacji, rządom i ich ministrom. Prezydent Duda zwrócił również uwagę, że historia prawdziwego dialogu społecznego rozpoczęła się tak naprawdę od transformacji ustrojowej w 1989 roku. – Te przemiany ustrojowe także były efektem tego, że właśnie dialogu brakowało. [...] Ta zmiana to było wołanie o dialog społeczny. To było wołanie o to, czego nie było i czego nie robiono. Opowiadano, że władza reprezentuje lud, ale w istocie go nie reprezentowała. Dlatego pojawiła się wkrótce idea tego, aby stworzyć prawdziwe ciało dialogu, i tak się stało – powstała Komisja Trójstronna ds. Społeczno-Gospodarczych, powołana uchwałą rządu kilka lat po tych wydarzeniach z 1989 roku – mówił prezydent.

Andrzej Duda przypomniał, jak w 2013 roku, za rządów Donalda Tuska, doszło do załamania dialogu społecznego w Polsce, a związki zawodowe zawiesiły swoje działania w pracach Komisji Trójstronnej. Wówczas narodziła się Rada Dialogu Społecznego, która funkcjonuje do dziś.

Prezydent ocenił, że dotychczasowe prace toczące się na forum Rady Dialogu Społecznego „przyczyniły się do pozytywnych zmian, które dokonały się w Polsce w okresie ostatnich 10 lat".

> WEDŁUG PREZYDENTA ANDRZEJA DUDY DOTYCHCZASOWE PRACE TOCZĄCE SIĘ NA FORUM RADY DIALOGU SPOŁECZNEGO „PRZYCZYNIŁY SIĘ DO POZYTYWNYCH ZMIAN, KTÓRE DOKONAŁY SIĘ W POLSCE W OKRESIE OSTATNICH 10 LAT".

– Nie ma żadnych wątpliwości, że przed nami cały czas jest i zawsze będzie ogromnie wiele wyzwań. Dzisiaj są to wyzwania przede wszystkim w dziedzinie energetyki, związane z sytuacją geopolityczną i żywiołowym postępem technicznym w tej sferze, rewolucja cyfrowa, wejście do powszechnego obrotu i praktycznie codziennego użycia sztucznej inteligencji, wszystkich profitów i zagrożeń z tym związanych – podkreślił prezydent RP pod koniec swojego wystąpienia.

eprasa.pl c60911d094

PRAWO

ZAMACH STANU CZY KONFLIKT PRAWNY?

Kontrowersje wokół prokuratury i Trybunału Konstytucyjnego

W ostatnich dniach bardzo dużo mówi się o zamachu stanu. Nie jestem ani prawnikiem, ani politykiem i trochę się w tym pogubiłem. Czy rzeczywiście mamy z nim do czynienia, czy to jedynie **kolejny etap** walki politycznej? Jakie konsekwencje prawne mogą wynikać z tej sytuacji?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

W ostatnich tygodniach w polskim życiu publicznym wybuchł spór, który wzbudził ogromne emocje. Głównymi jego stronami są instytucje odpowiedzialne za wymiar sprawiedliwości oraz najwyższe organy państwa. Pojawiły się oskarżenia o próbę zamachu stanu, ingerencję w niezależność instytucji oraz łamanie konstytucyjnych zasad państwa prawa. W tle tych wydarzeń rozgrywa się spór o granice kompetencji poszczególnych organów i zasady, na jakich powinny funkcjonować prokuratura oraz sądownictwo. Wszystko zaczęło się od zawiadomienia, które wpłynęło do organów ścigania, i które sugerowało, że działania rządu mogą stanowić zagrożenie dla konstytucyjnego porządku państwa. Sprawa dotyczyła zmian legislacyjnych, które miały wpłynąć na funkcjonowanie Trybunału Konstytucyjnego oraz innych instytucji wymiaru sprawiedliwości. W odpowiedzi na zawiadomienie przedstawiciel prokuratury wszczął postępowanie, które miało wyjaśnić, czy rzeczywiście doszło do naruszenia prawa. Decyzja o wszczęciu śledztwa spotkała się z natychmiastową reakcją kierownictwa prokuratury, które uznało ją za naruszenie procedur. Wskazano, że zawiadomienie nie zostało zarejestrowane w oficjalnym systemie ewidencyjnym, a prowadzenie postępowania bez właściwego nadzoru narusza przepisy regulujące pracę organów ścigania. W związku z tym podjęto decyzję o zawieszeniu prokuratora, który prowadził postępowanie, na okres sześciu miesięcy. Argumentowano, że jego działania były niezgodne z obowiązującymi przepisami.

Ale czy rzeczywiście mamy do czynienia z zamachem stanu? Pojęcie zamachu stanu odnosi się do działań mających na celu przejęcie władzy wbrew obowiązującym przepisom, zazwyczaj przy użyciu środków siłowych lub działań pozaprawnych. W tym przypadku zarzuty dotyczą zmian w prawie oraz decyzji instytucji państwowych, które choć mogą budzić kontrowersje, odbywają się w ramach funkcjonujących przepisów konstytucyjnych. Z perspektywy prawa, aby mówić o zamachu stanu, konieczne byłoby udowodnienie, że działania podjęto w celu nielegalnego przejęcia władzy i że miały one charakter bezpośredni.

Jak Pan widzi, spór pokazuje, jak głębokie są podziały w polskim systemie prawnym i politycznym. Po jednej stronie mamy instytucję odpowiedzialną za ochronę konstytucyjnego porządku, która uważa, że jej niezależność jest zagrożona. Po drugiej – rząd, który twierdzi, że jego działania mają na celu przywrócenie praworządności i zapewnienie przejrzystości w funkcjonowaniu państwa. Kluczowe jest to, czy wszczęte postępowanie będzie kontynuowane i czy znajdą się inne instytucje gotowe do jego prowadzenia. Możliwe są także dalsze kroki

eprasa.pl c60911d094

prawne wobec osób, które doprowadziły do tej sytuacji, zarówno po stronie prokuratury, jak i instytucji rządowych. Cała sytuacja pokazuje, jak cienka granica dzieli prawo od polityki, a interpretacja obowiązujących przepisów może się różnić w zależności od okoliczności i podmiotów sprawujących władzę.

UDZIAŁ W SZKOLENIU a czas pracy

Wykonywanie każdej pracy wymaga określonych umiejętności i kompetencji. Po pierwsze można to stwierdzenie odnieść do uzyskiwania sformalizowanych uprawnień, które są niezbędne do wykonywania danych rodzajów prac czy zawodów. Jednakże w szerszym kontekście dotyczy to wiedzy niezbędnej nie tylko ze względu na wymogi prawne (np. uprawnienie do prowadzenia pojazdu), ale również takiej, której posiadanie wpływa na lepszą jakość świadczonej pracy czy też na większy poziom jej bezpieczeństwa.

Dr **Jakub Szmit**, specjalista z zakresu prawa pracy

ZDOBYWANIE WIEDZY I UMIEJĘTNOŚCI ODBYWA SIĘ na bardzo zróżnicowane sposoby. Wystarczy wskazać, że do tego typu aktywności należy przede wszystkim zaliczyć powszechną edukację, właściwie już od poziomu szkoły podstawowej. Również w tych ramach nabywa się wiedzy o bardziej zawodowym charakterze, czego szczególnym wyrazem jest szkolnictwo zawodowe.

Oczywiście w zależności od rodzaju pracy poprzestanie na ogólnym poziomie wiedzy czy umiejętności może być niewystarczające i konieczny staje się dalszy rozwój już tych posiadanych lub zdobywanie nowych. Ów rozwój również odbywa się w zróżnicowany sposób, ale szczególną metodą są szkolenia. Warto przy tym podkreślić, że szeroko pojęte szkolenia można podzielić według kilku kryteriów. Jednym z nich jest to, czy są one wymagane prawnie czy też nie. Z kolei wśród tych drugich można wyróżnić takie, w których udział pracownika jest konsekwencją decyzji pracodawcy, oraz takie, na które pracownik uczęszcza wyłącznie z własnej woli. W związku z tym, że udział w szkoleniu wiąże się w oczywisty sposób z zaangażowaniem czasowym, powstaje kwestia, jak traktować udział w poszczególnych rodzajach szkoleń właśnie przez pryzmat czasu, a dokładniej rzecz biorąc – czasu pracy (a w konsekwencji także ich odpłatności).

Od 26 kwietnia 2023 r. kwestię tę reguluje art. 94^{13} Kodeksu pracy. Przepis ten przewiduje, że określone rodzaje szkoleń odbywają się na koszt pracodawcy oraz w miarę możliwości w godzinach pracy pracownika, a jeżeli szkolenie odbywa się poza normalnymi godzinami pracy, jego czas wlicza się do czasu pracy. Należy przy tym wskazać, że reguła ta dotyczy dwóch typów szkoleń. Pierwszymi są takie, które są niezbędne do wykonywania określonego rodzaju pracy lub pracy na określonym stanowisku, a obowiązek pracodawcy co do ich przeprowadzenia wynika z postanowień układu zbiorowego pracy, innego porozumienia zbiorowego, z regulaminu, lub przepisów prawa lub umowy o pracę (przez przepisy prawa należy w tym wypadku rozumieć przede wszystkim przepisy ustaw). Przykładem takiego szkolenia mogą być szkolenia w zakresie BHP (aczkolwiek w tym wypadku przepisy szczegółowe już wcześniej gwarantowały ich odpłatność i obywanie ich w czasie pracy).

Co jednak istotne, drugi rodzaj szkoleń objętych regulacją art. 94^{13} kp to szkolenia odbywane na polecenie pracodawcy. Tutaj z kolei mieszczą się wszelkiego rodzaju szkolenia, kursy czy inne formy podnoszenia kwalifikacji, które nie są obligatoryjne dla pracownika z mocy prawa (powszechnego lub zakładowego) albo z umowy o pracę, ale takie, co do których pełną swobodę decyzji ma pracodawca. Innymi słowy, jeżeli pracodawca uzna, że jest dla niego korzystne podniesienie wiedzy lub umiejętności pracowników, to może on nakazać im udział w wybranym przez siebie szkoleniu, ale pracownicy nie mogą z tego tytułu ponosić kosztów – ani czasowych, ani finansowych.

PYTANIA DO EKSPERTÓW

Pytania do naszych ekspertów prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl c60911d094

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA

Nasi autorzy

Bartosz Boruciak (Źle się czuję..., s. 54), w „TySolu" od 2018 roku. Trzyma rękę na pulsie nierzadko chimerycznej kultury popularnej. Gospodarz rubryki „Mix płyt". Autor naszych cotygodniowych rozmów z artystami.

Krzysztof Karnkowski (O fenomenie..., s. 20), doktor socjologii, publicysta, współpracownik „Tygodnika Solidarność", wokalista punkrockowego zespołu Spirit of 84, twórca internetowy.

Monika Małkowska (Laboratorium..., s. 24), jest krytyczką sztuki, projektantką mody, dziennikarką i publicystką kulturalną. W przeszłości związana m.in. z „Rzeczpospolitą", radiową Trójką i PR24, Tok FM czy TVP Kultura. W 2014 wywołała burzę tekstem „Mafia bardzo kulturalna", w którym obnażyła szereg patologicznych zjawisk i układów rządzących polskim życiem artystycznym.

Magdalena Okraska (Zderegulujmy..., s. 15), publicystka, pisarka i działaczka społeczna związana ze środowiskiem pisma „Nowy Obywatel". Autorka dwóch głośnych książek opisujących Polskę z perspektywy mniejszych miast i miasteczek. Jej „Ziemia jałowa. Opowieść o Zagłębiu" ukazała się w 2018 roku (Wydawnictwo Trzecia Strona), „Nie ma i nie będzie" (Wydawnictwo Ha! art) w roku 2022.

Sebastian Reńca (Kontestatorzy..., s. 64), pisze dla nas od roku 2024. Jego najnowsza powieść „Świadek" ukazała się w roku 2021 (wydawnictwo LTW). Jest to historia dziennikarza śledczego próbującego rozwikłać zagadkę tajemniczego zaginięcia swego przyjaciela, który w latach 90. badał m.in. w sprawę strzałów kopalni „Wujek".

Piotr Skwieciński (Pojęczmy..., s. 11), jeden z najbardziej doświadczonych polskich dziennikarzy i publicystów. W przeszłości był m.in. prezesem Polskiej Agencji Prasowej czy zastępcą redaktora naczelnego tygodnika „Sieci". W latach 2019–2022 dyrektor Instytutu Polskiego w Moskwie. Następnie ambasador RP w Armenii. Jego najnowsza książka to „Koniec ruskiego miru? O ideowych źródłach rosyjskiej agresji" (2022).

PRENUMERATA NA 2025 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) Bezpośrednio u wydawcy „TS" – TYSOL Sp. z o.o., 00-838 Warszawa, ul. Prosta 30, tel. 22 882 27 80, e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com numer konta: Mbank 58 1140 1065 0000 2038 9400 1001. Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **tysol.pl**;

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- II kwartał – 117,00 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 225,00 zł (od nr. 1 do 25)**
- III kwartał – 126,00 zł (14 wydań)
- IV kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 234,00 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 459,00 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na: www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl c60911d094

REPUBLIKA

Tomasz Sakiewicz wspólnie z zaproszonymi do studia ekspertami, dziennikarzami i politykami podsumowuje najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia. Zobaczymy także, jakie tematy zdominowały polskie media społecznościowe.

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Republikę oglądać można na multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa typu YAGI ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Nadal można nas oglądać przez satelitę, w sieciach kablowych oraz w lokalnych multipleksach w Katowicach, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku oraz w części woj. opolskiego i małopolskiego. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl c6091100094

eprasa.pl c60911d094